W numerze: Nie ma ucieczki przed motoryzacją • Wielka improwizacja • Zamki nad Łódką i Jasienią • Nikifor maluje dom • Potomkowie Tespisa • Złotoocy Marsjanie • Pięciolatek • Dynastia karcianych królów • Plastyka • Książki Film • Konkurs

odgłosu

Nr 51-1 (355-356)
16. XII. 64 r. — 1. I. 65 r.
16 stron
Cena 2 zł.

TYGODNIK ROK VII

Jak ten czas szybko leci! Wydaje się, że dopiero stawialiśmy horoskopy na rok bieżący, a już sięgamy po pióro, by sumować odmierzone kartkami kalendarza dni 1964 r.

Sumować? Za wielkie to słowo do skromnych ram dorocznego, okolicznościowego felietonu. Przez różnobarwną panoramę mijającego roku przewinęło się bowiem tyle faktów, że trudno je wszystkie odnowić w pamięci, a cóż dopiero powrócić do nich chociażby w lapidarnym komentarzu!

Niełatwo również posłużyć się metodą selekcji wydarzeń. W świecie, w którym nie ma faktów wyizolowanych, w którym wszystkie — duże czy małe — wzajemnie się warunkują, a rozgrywające się w sąsiednim kraju, czy też na odległym kontynencie śledzone są z jednakową uwagą — i ta droga okazuje się zawodna.

Spróbujmy więc inaczej: rozważyć co rok 1964 wniósł do współczesnej historii, zbliżył czy też oddalił największe niebezpieczeństwo naszych czasów: wojnę termojądrową, zbliżył czy też oddalił od siebie ludzi, mieszkających pod różnymi długościami i szerokościami geograficznymi?

U progu mijającego roku na dwóch przeciwległych krańcach, w stolicach dwóch supermocarstw światowych rozległy się niemal jednobrzmiące, pełne nadziei głosy: „Będzie to rok pokojowego rozwoju ludzkości".

Czy dziś — u schyłku roku — można potwierdzić tę prognozę?

Rok 1964 nie przyniósł jakiegoś poważniejszego porozumienia międzynarodowego, które, tak jak w poprzednim — moskiewski układ o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową, pchnęłoby naprzód sprawę odprężenia.

A przecież mimo to możemy stwierdzić, że był to rok dalszych postępów idei socjalizmu i pokojowego współistnienia oraz przekonania, że z dwóch alternatywnych rozwiązań tylko takie jest do przyjęcia.

Wydaje się, że w ciągu tego roku wielu naszych polityków Zachodu zrozumiało nakaz naszych dni: albo nauczymy się żyć pokojowo, albo wszyscy zginiemy.

Dalszy ciąg na str. 3

Najlepsze życzenia

ŚWIĄTECZNE

i

NOWOROCZNE

swoim Czytelnikom i Sympatykom

składa

REDAKCJA

Rok 1964

STYCZEŃ

◇ Rok zaczął się od pomyślnych wieści: uczeni stwierdzili, iż w wyniku ograniczenia próbnych wybuchów jądrowych w ostatnich miesiącach miał miejsce na całym świecie znaczny spadek radioaktywności.

◇ Afrykańska podróż premiera Czou-En-laja z jednej strony wskazuje na wzrost autorytetu Chińskiej Republiki Ludowej wśród narodów wyzwalających się z pęt kolonializmu, z drugiej zaś strony raz jeszcze zwraca uwagę opinii światowej na nienormalność sytuacji politycznej wynikłej z dyskryminacji ChRL przez mocarstwa zachodnie.

◇ Proces frankfurcki demonstruje światu potworność Oświęcimia — jednego z licznych hitlerowskich obozów zagłady. Procedura procesu dowodzi natomiast, jak rozbudowany został zachodnioniemiecki system hamowania działalności wymiaru sprawiedliwości — jeśli dotyczy on przestępców wojennych. Mimo to proces oświęcimski — tak go nazywa prasa całego świata — stanie się ważnym czynnikiem mobilizującym opinię światową przeciw mającemu nastąpić w NRF w 1965 r. przedawnieniu spraw o zbrodnie wojenne.

◇ Przewrót w Zanzibarze zmienił po całych stuleciach układ sił w tym zakątku świata: do władzy doszła uciskana przez mniejszość arabską ludność murzyńska. Jest to jeszcze jeden z licznych przejawów radykalizowania się stosunków społecznych w młodych organizmach politycznych Afryki.

◇ Pielgrzymka papieża Pawła VI do Ziemi Świętej stała się dowodem,: iż w epoce dyplomatycznych podróży nawet Stolica Apostolska musi poddać rewizji dotychczasowe swe zwyczaje. Mowi się też w Watykanie o nowych, zupełnie nie mieszczących się w tradycji, podróżach papieża.

◇ W Polsce, pod naciskiem opinii publicznej zaczyna się ostry kurs przeciw chuliganom: wysokie kary pieniężne i ostre rygory więzienne rzucą chyba postrach na dotychczas bezkarnych często mącicieli porządku publicznego.

◇ Bandyta Sylweriusz Zdanowicz, zabójca milicjanta, skazany został na śmierć. Wyrok wykonano.

LUTY

◇ Francja jako pierwsze mocarstwo zachodniego świata uznaje Chińską Republikę Ludową. Decyzja ta wywołuje burzę na Zachodzie, zmienia dotychczasowy układ sił, powoduje zerwanie stosunków dyplomatycznych Francji z reżimem taiwańskim, ale staje się i przyczyną prawdziwego najazdu zachodnioeuropejskich misji handlowych na Pekin.

◇ Znękany południowy Wietnam przeżywa paroksyzm wciąż nowych przewrotów i zmian w rządzie. Coraz silniejszy jest i opór patriotów przeciw narzuconym przez USA reżimom.

◇ W Tanganice i Kenii oddziały brytyjskie interweniują przeciw zbuntowanym wojskom rządowym. Podobnie dzieje się w Gabonie, gdzie w obronie zachwianego rządu występują spadochroniarze francuscy: tak się zaczyna rok, który będzie rokiem neokolonialnych interwencji na Czarnym Lądzie.

◇ W NRF prawdziwa fala samobójstw zdemaskowanych przestępców wojennych. Odebrali sobie życie:

— Ewald Peters, boński wysoki funkcjonariusz bezpieczeństwa, aresztowany za masowe egzekucje w czasie minionej wojny;
— Dr Werner Heyde vel Savade odpowiedzialny za zgładzenie na rozkaz Hitlera 100.000 chorych psychicznie;
— Friedrich Tillman, współoskarżony w procesie Heyde'go wyskoczył z ósmego piętra w czasie śledztwa.

Prasa zachodnioniemiecka wspomina, iż samobójstwa te są „bardzo na czasie" i kto wie, czy denatom ktoś nie pomagał w ich organizowaniu.

◇ Polki awansują społecznie! Danuta Walas-Kobylińska kapitan żeglugi wielkiej objęła wobec nagłej choroby I oficera obowiązki dowódcy 10-tysięcznika „Kopalnia Wujek" i poprowadziła go w dalszy rejs.

◇ Na Mazurach i w przybrzeżnym Bałtyku prawdopodobnie kryją się bogate złoża ropy naftowej.

◇ Jubileusz Jarosława Iwaszkiewicza — 70 urodziny i 50-lecie pracy pisarskiej — stał się prawdziwym świętem polskiej literatury.

MARZEC

◇ W Polsce gości Urcho Kekkonen, prezydent Finlandii. Jest to nie tylko wydarzenie dyplomatyczne, to również widomy sprawdzian koegzystencji — pokojowej a nawet przyjaznej — państw o różnych systemach politycznych.

◇ We Francji wybory samorządowe przyniosły duży sukces lewicy. Nikła jednak frekwencja wyborcza (ledwie 60 proc.) zdaje się wskazywać na stabilizację rządów gaullistowskich. A tymczasem prezydent de Gaulle odwiedza Meksyk i podróż ta staje się wielką demonstracją wyraźnie antyamerykańskich nastrojów. W USA odczuwa się to bardzo boleśnie.

◇ Podpisana w Moskwie radziecko-amerykańska umowa przewiduje szerszą niż kiedykolwiek wymianę kulturalną między obu państwami.

◇ Sejm PRL uchwalił nowy Kodeks Rodzinny i Opiekuńczy. Najważniejszą zmianą, jaką wprowadza KRiO jest przyjęcie granicy wieku uprawniającego do małżeństwa na 18 lat dla kobiety i 21 lat dla mężczyzny.

◇ Szczecin ma już 300 000 mieszkańców: to dwa razy tyle co przed wojną i niemal 10 razy więcej niż w roku 1945.

◇ Zawodowym mistrzem świata wszech wag został 23-letni bokser murzyński Canius Clay, słynny z przechwałek, układanych na własną cześć poematów i sensacyjnych wywiadów prasowych.

KWIECIEŃ

◇ Przewrót w Brazylii obalił rząd prezydenta Goularta, który zmuszony był opuścić kraj. Do władzy doszły elementy skrajnie reakcyjne, z kliką generalską na czele.

W całym kraju panuje terror skierowany przeciw lewicy: ofiarą jego padają działacze związków zawodowych — a także wybitni politycy (były prezydent Kubitschek).

◇ Polska delegacja partyjno-rządowa z tow. tow. Gomułką i Cyrankiewiczem na czele udała się do Moskwy.

◇ W Belgii strajk 12 tysięcy lekarzy doprowadził do zupełnej dezorganizacji służby zdrowia. Opinia publiczna zgodnie potępiła antyspołeczną postawę strajkujących lekarzy.

◇ Reakcyjny zamach stanu w Laosie, mimo niepowodzenia i szybkiego powrotu Souvanna Phoumy do władzy skomplikował i tak niejasną sytuację polityczną w tym kraju.

◇ Związek Radziecki, USA i Wielka Brytania zawarły porozumienie w sprawie zmniejszenia produkcji materiałów rozszczepialnych na potrzeby zbrojeniowe.

◇ Na Wzgórzu Wawelskim odkryto ślady dworu Bolesława Chrobrego.

◇ W Związku Radzieckim bawił prezydent Algieru Ahmed Ben Bella.

◇ W Dav El Salam ratyfikowano unię zawartą między Republiką Zanzibaru i Tanganiką.

MAJ

◇ W Asuanie Nil został przegrodzony tamą wzniesioną przy wydatnej pomocy Związku Radzieckiego.

◇ Około 350 fanatyków piłkarstwa poniosło śmierć w wyniku zamieszek, do jakich doszło na stadionie w stolicy Peru Limie.

◇ Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych stał się ważnym wydarzeniem kulturalnym. Z tej okazji tow. Zenon Kliszko zajął stanowisko wobec tzw. „Listu 34".

◇ Moskwiczanie entuzjastycznie witają przybywającą na występy Marlenę Dietrich.

◇ Zmarł Jawaharlal Nehru, współtwórca odrodzenia Indii i uczeń Ghandiego.

◇ W Szkocji wybuchła epidemia tyfusu. Przyczyną były zlężałe i zakażone konserwy.

◇ W 600 rocznicę powołania do życia pierwszej na ziemiach polskich uczelni wyższej — Uniwersytet Jagielloński odznaczony został Wielkim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski.

◇ Biuro Polityczne PZPR podjęło uchwałę w sprawie zwiększenia roli i zadań bazy naukowo-technicznej w gospodarce narodowej.

◇ W 20-lecie bitwy pod Monte Cassino w której zginęło 4.400 żołnierzy polskich odbyły się uroczystości żałobne.

CZERWIEC

◇ IV Zjazd Partii stał się w Polsce najważniejszym wydarzeniem politycznym roku: podsumował on osiągnięcia 20-lecia PRL i w uchwałach swych wytyczył zadania na przyszłość.

◇ Zawarty został układ o wzajemnej pomocy i współpracy między ZSRR i NRD.

◇ Harold Wilson, przywódca brytyjskiej opozycji przeprowadził rozmowy dyplomatyczne w Moskwie i Warszawie.

◇ Powstanie w Kongo zatacza coraz szersze kręgi.

◇ Wobec groźby tureckiej inwazji na Cyprze powołano pod broń już 4.000 Greków.

◇ Przyszło na świat dziecko kosmonautów Walentyny Tereszkowej i Andriana Mikołajewa.

◇ Były prezydent D. Eisenhower poparł reakcjonistę Goldwatera torując mu tym samym drogę do kandydowania w wyborach.

◇ W Sajgonie ambasadora Cabot Lodge'a zastąpił generał Maxwell Taylor. Zmiana ta zapowiada jeszcze bardziej agresywną politykę amerykańską w płd.-wsch. Azji.

◇ Do Polski przybył z wizytą przyjaźni prezydent J. Broz Tito.

◇ W stanie Missisipi zamordowano 3 młodych antysegregacjonistów. Miejscowa policja wykazuje w tej sprawie demonstracyjną bezczynność, za którą kryje się ścisły współudział w zbrodni.

LIPIEC

◇ Nominacja Barry Goldwatera — skrajnego reakcjonisty i rzecznika wojny — na kandydata republikańskiego zapowiada rozłam w szeregach tej partii i jej poważny kryzys polityczny. Jednocześnie przewidywania wyników listopadowych wyborów zgodnie wskazują jako zwycięzcę Johnsona.

◇ A. Mikojan wybrany został Przewodniczącym Rady Najwyższej ZSRR.

◇ Zmarł Maurice Thorez, wybitny działacz światowego ruchu komunistycznego, przywódca KPF.

◇ Mapa Afryki wzbogaciła się o Malawię, nowe państwo, powstałe z protektoratu brytyjskiego Niassy.

◇ We Francji wybuchła afera „maturalna". Tematy maturalne sprzedawano na plażach i w barach.

◇ Nowym prezydentem Meksyku wybrany został współpracownik Mateosa — Diaz Ordaz.

◇ Czombe został premierem Kongo. Nominacja ta nie wróży znękanemu krajowi niczego dobrego.

◇ W przededniu święta lipcowego Rada Państwa uchwaliła dekret o amnestii.

◇ Konferencja Organizacji Państw Amerykańskich pod naciskiem USA uchwaliła sankcje wobec Kuby.

◇ Zmarła Wanda Wasilewska, działaczka rewolucyjna i znana pisarka.

◇ Cały kraj obchodził uroczystości 20 rocznicy powstania warszawskiego.

SIERPIEŃ

◇ Zmarł Aleksander Zawadzki, rewolucjonista, mąż stanu i żarliwy patriota.

◇ Sejm PRL na nadzwyczajnej sesji wybrał Edwarda Ochaba przewodniczącym Rady Państwa.

◇ Niemal cała światowa opinia publiczna widzi w tzw. incydencie w Zatoce Tonkijskiej przejaw nacisku na prezydenta Johnsona reakcyjnej części polityków amerykańskich z Barry Goldwaterem na czele.

◇ Nad Morzem Kaspijskim przystąpiono do budowy elektrowni atomowej i urządzeń odsalających wodę morską.

◇ W płockim kombinacie zakończono rozruch technologiczny pierwszego wielkiego obiektu: destylacji rurowo-wieżowej.

◇ Zmarł Palmiro Togliatti sekretarz KPW i wybitny działacz międzynarodowego ruchu robotniczego. Sekretarzem KPW został wybrany najbliższy współpracownik Togliattiego — Luigi Longo.

◇ Konwencja Partii Demokratycznej wybrała na kandydatów demokratycznych w zbliżających się wyborach Johnsona i Humphrey'a.

◇ Przewroty i zmiany rządów w płd. Wietnamie nabierają cech ponurej groteski: po ostatnich zamieszkach generał Khan ustąpił a komunikat oficjalny podaje, iż jest on nerwowo chory.

WRZESIEŃ

◇ Cały kraj czci pamięć 25 rocznicy tragicznego Września.

◇ Po likwidacji reakcyjnej rebelii, premier Ben Bella ułaskawił jednego z jej przywódców, El Hadiego. Były dowódca saharyjskiego okręgu wojskowego został rozstrzelany.

◇ W Paryżu krążą pogłoski planowanej podróży prezydenta de Gaulle'a do Moskwy.

◇ W Warszawie obraduje Międzynarodowy Kongres Astronautyczny, w którym biorą udział m. in. uczeni ZSRR, USA, Francji, Belgii i Włoch.

◇ Na czele powstańców kongijskich stanął Christopher Gbenye, były minister w rządzie Lumumby.

◇ W rejonie Żelaznych Wrót z okazji rozpoczęcia budowy hydroelektrowni Gheorge Dej i Josip Broz-Tito przeprowadzili rozmowy na temat współpracy rumuńsko-jugosłowiańskiej.

◇ W 20 rocznicę walk Armii Ludowej odsłonięto w Ewinie obelisk ku czci partyzantów z III batalionu Al. im. gen. Bema.

◇ W Polsce gościł cesarz Etiopii Haile Selassie.

◇ Zjazd pisarzy polskich w Lublinie podsumował dorobek naszej literatury w 20-leciu. W czasie obrad przemawiał I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka.

◇ Zmarł Otto Grotewohl przewodniczący Rady Ministrów NRD.

◇ Kongres ZBOWiD dokonał wyboru nowych władz. Przewodniczącym Rady Naczelnej został Józef Cyrankiewicz, Prezesem Zarządu Głównego gen. dyw. Mieczysław Moczar.

PAŹDZIERNIK

◇ Nikita Chruszczow zwolniony został z obowiązków pierwszego sekretarza KC PZPR i przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR. Pierwszym Sekretarzem KC KPZR wybrany został Leonid Breżniew, Przewodniczącym Rady Ministrów mianowano Aleksieja Kosygina.

◇ Minęło 15 lat od powstania Chińskiej Republiki Ludowej.

◇ Nowym premierem Anglii, po zwycięstwie wyborczym Labour Party, został 48-letni Harold Wilson.

◇ W ZSRR wystrzelono na orbitę pojazd kosmiczny z trzyosobową załogą.

◇ Polskę odwiedziła węgierska delegacja partyjno-rządowa z premierem J. Kadarem na czele.

◇ W Kairze rozpoczęła się konferencja szefów państw i rządów krajów niezaangażowanych. Premier Czombe — jako osoba niepożądana — nie został dopuszczony na salę obrad.

◇ Działacz murzyński Martin Luther King otrzymał pokojową nagrodę Nobla.

◇ Ait Ahmed, przywódca rebeli kabylskiej został ujęty przez oddziały Narodowej Armii Ludowej. Ben Bella zapowiada publiczny proces.

◇ Na Olimpiadzie w Tokio wiele polskich sukcesów.

◇ J. P. Sartre został laureatem literackiej nagrody Nobla. Sławny pisarz i filozof odmówił jej przyjęcia.

◇ W Sudanie doszło do krwawych zamieszek, w rezultacie których obalony został dyktatorski reżim generała Abbuda.

◇ Belgijscy komandosi przewiezieni z brytyjskiej bazy na amerykańskich samolotach zdobyli lotnisko w Stanleyville: ta jawna interwencja w wewnętrzne sprawy Konga wywołała protesty na całym świecie.

LISTOPAD

◇ Partyzanci płd. wietnamscy przeprowadzili niezwykle śmiały atak na amerykańskie lotnisko strategiczne w Bien Hoa położone o 20 kilometrów od Sajgonu.

◇ W wyborach prezydenckich zwyciężył — jak było do przewidzenia — L. Johnson. Ale przewaga, jaką uzyskał on nad Goldwaterem przeszła wszelkie oczekiwania.

◇ W 47 rocznicę Rewolucji Październikowej defilada wojskowa dała świadectwo potędze militarnej ZSRR.

◇ W Anglii pierwsze parlamentarne „próby sił" wypadły na korzyść Partii Pracy.

◇ W Pekinie otwarta została brytyjska wystawa przemysłowa.

◇ Po latach krwawych walk — nareszcie doszło do zawieszenia broni w Jemenie.

◇ Pierwsze od ustąpienia N. Chruszczowa Plenum KC KPZR przywróciło terytorialno-produkcyjną strukturę organizacji partyjnych i wprowadziło do Prezydium KC P. Szelesta i A. Szelepina.

◇ Umowa między ZSRR a USA o współpracy przy odsalaniu wody morskiej została uznana przez prasę całego świata za dowód kontynuowania polityki odprężenia.

◇ II Plenum KC PZPR przyjęło uchwały w sprawie zadań organizacji i instancji partyjnych w ujawnianiu rezerw produkcyjnych i doskonaleniu metod planowania. Ryszard Strzelecki wybrany został członkiem Biura Politycznego KC PZPR, a Bolesław Jaszczuk zastępcą członka Biura Politycznego KC PZPR.

GRUDZIEŃ

◇ Problemy Wspólnego Rynku, kryzys NATO a przede wszystkim projekt utworzenia wielostronnych sił nuklearnych stały się powodem szczególnej aktywności dyplomatycznej Zachodu:

— Narady zainteresowanych ministrów resortów gospodarczych doprowadziły do pewnego zbliżenia ich stanowisk;
— De Gaulle nadal podkreśla swój negatywny stosunek do koncepcji NATO i WSN;
— Rozmowy Johnson — Wilson nie doprowadziły do oczekiwanego uzgodnienia poglądów;
— Parlament francuski jednomyślnie potępił WSN.

◇ We Francji pierwszy od wielu lat strajk generalny na znak protestu przeciw socjalnej polityce rządu.

◇ Peronowi nie udała się próba powrotu do

◇ Zmarła prof. dr N. Gąsiorowska wybitny uczony i pedagog.

◇ M. Taylor po podróży waszyngtońskiej realizuje w płd. Wietnamie „nową, energiczną strategię".

◇ Obradował VIII Zjazd Związku Komunistów Jugosławii.

◇ Czombe został przyjęty przez papieża na specjalnej audiencji.

◇ Min. Rapacki zaproponował w ONZ zwołanie ogólnoeuropejskiej konferencji dla omówienia bezpieczeństwa Europy.

◇ Do Oświęcimia przybył na wizję lokalną niepełny skład sądu z Frankfurtu.

POLONICA

RADIO SZWAJCARSKIE O POLSCE

Radio szwajcarskie w Bernie nadało kilka audycji, poświęconych sprawom polskim. W jednej z audycji mówiono o odbudowie Warszawy, inną poświęcono polskiej muzyce jazzowej, a jeszcze inną — muzyce poważnej. W tej ostatniej audycji Regina Smendzianka grała utwory Chopina, Paderewskiego i Szymanowskiego. Cykl tych audycji nadany został w ramach tzw. tygodnia polskiego, który zainicjowało radio berneńskie. Jak się dowiadujemy, audycje takie mają być nadawane przez rozgłośnię berneńską co najmniej raz w roku.

POLONICA AUSTRIACKIE

Na zaproszenie Austriackiego Towarzystwa Literackiego, przebywał w Wiedniu Zbigniew Herbert. Z tej okazji miesięcznik literacki „Wort in der Zeit" wydrukował jego wiersz pt. „Die Heimkehr des Prokonsuls" (Powrót prokonsula). W tymże numerze czasopisma znajduje się recenzja o tomie opowiadań Tadeusza Borowskiego „Die steinerne Welt" (Kamienny świat), który w roku ubiegłym ukazał się nakładem monachijskiej firmy wydawniczej Piper-Verlag. Autor recenzji, Edwin Hartl, kończy recenzję słowami: „Jest to książka, którą nie tylko należy przeczytać, ale również i przeżyć".

PRZYPOMNIENIE „ZIEMI OBIECANEJ"

W znakomicie redagowanym dwutygodniku „Die Welt der Literatur" (z 26 listopada br.), ukazującym się zresztą co drugi czwartek jako dodatek do dziennika hamburskiego „Die Welt", Peter Härtling w stałym cyklu przypominania książek zapomnianych, omówił w dużym artykule „Ziemię obiecaną" Reymonta, która w swoim czasie ukazała się w Niemczech pt. „Łódź — das gelobte Land". Autor wykazuje, że jest to jedna

z lepszych książek, której autor potrafił z olbrzymim talentem przedstawić gorączkowy rozwój świata kapitalistycznego na przykładzie wielkiego przemysłowego miasta. Peter Härtling pisze m. innymi: „Żywa pozostała ta powieść przez doskonale zniuansowany opis ruchliwego środowiska fabrycznego, w którym współżyli lub walczyli ze sobą Polacy, Niemcy i Żydzi".

ZBIGNIEW NIENACKI W ZSRR

Z okazji dwudziestolecia PRL w Związku Radzieckim wydano kilka powieści współczesnych polskich pisarzy. Jednym z nich jest łodzianin Zbigniew Nienacki, którego powieść pt. „Worek Judaszów" w tłumaczeniu W. Gołowskiego i S. Larina została opublikowana w miesięczniku literackim „Młoda Gwardia". Powieść tę drukowały w odcinkach dzienniki „Moskowskij komsomolec" oraz „Wieczernij Leningrad". W cyklu „Polska powieść współczesna" moskiewskie wydawnictwo „Młoda Gwardia" w br. wypuściło na rynek księgarski drugą książkę Zbigniewa Nienackiego — „Podniesienie". Przekładu dokonała znana tłumaczka radziecka Z. Szatałowa. (g)

POLONICA

Dalszy ciąg ze str. 1

Cabot Lodge, b. ambasador USA w Sajgonie i niedoszły kandydat partii republikańskiej na prezydenta Stanów Zjednoczonych w pierwszych miesiącach bieżącego roku wypowiedział następujące zdanie:

„Gdy obserwuję rozwój sytuacji dochodzę do wniosku, iż komuniści nie są przerażeni, jeśli dowiadują się, że osiągnięcie jakiegoś celu wymagać będzie nawet 50 lat".

Myślę, że w ten sposób potwierdził on systematyczny i nieodwracalny, choć nickiedy powolny, proces, jaki na korzyść sił pokoju i postępu dokonuje się w świecie.

Ci, którzy tego nie zrozumieli, którzy żyją utrwalonym w pamięci obrazem dawnych dni, dawnego układu sił, którzy — co więcej — chcieliby współczesność cofnąć do tamtego okresu, musieli, jak wojowniczy Barry Goldwater, przeżyć wielkie porażki. Nie sposób bowiem zawracać fale...

Potwierdził to w swym komentarzu na łamach „New York Times" — Sulzberger w następujących słowach:

„Im bardziej nasza propaganda reklamuje cnoty kapitalizmu i atakuje socjalizm — tym mniej świat nas lubi. I niewielką pociechę przynosi argument, że to, co my rozumiemy przez to pojęcie — różni się od tego, co rozumieją cudzoziemcy...".

Uzasadniających przykładów aż nadto. Spójrzmy chociażby na mapę Azji i Afryki, na tzw. „trzeci świat".

Droga do pełnej niepodległości krajów nowo wyzwolonych często prowadzi zakosami, często próbuje się je z niej zawrócić, brutalnie interweniując orężem. A przecież mimo to wydłuża się lista tych, które uprawiają politykę nieprzyłączania się do agresywnych bloków imperialistycznych i idą śmiało ku postępowi społecznemu. Algieria, Zjednoczona Republika Arabska, Ghana, Mali, Birma, Gwinea... Ile jeszcze można wyliczyć państw, które oparły się zmodernizowanej postaci kolonializmu i nie dały sobie odebrać ich największego zwycięstwa.

Czy nie potwierdza to prawdy naszych dni, że stary ustrój — kapitalizm przeżył się, że nie ma przyszłości? Obierając drogę kapitalistycznego rozwoju — stwierdzili liczni ekonomiści — szereg dawnych kolonii, posuwając się w tempie właściwym dla tej formacji, osiągnęłoby poziom dzisiejszego rozwoju kapitalistycznego krajów Europy w najlepszym wypadku pod koniec XXI wieku! Oto dlaczego rewolucja narodowo-wyzwoleńcza, ogarniająca coraz to nowe kraje, nieuchronnie wstępuje na drogę rozwiązywania problemów społecznych i ma tendencję do przerastania w rewolucję, przebudowującą społeczeństwo na zasadach socjalistycznych.

Już tylko te fakty upoważniają do opinii, że rok 1964 potwierdził optymistyczną ocenę charakteru współczesnej epoki i nasze głębokie przekonanie, iż czas pracuje dla socjalizmu.

Lecz nie tylko te.

Spójrzmy na świat kapitalistyczny i jego czołowe ugrupowanie, blok atlantycki. Wrze tam, jak w przysłowiowym ulu. Jeszcze przed laty mity o monolitności, dziś — kontrowersje, namiętne dyskusje, cały ciąg sprzeczności.

„Sytuacja — pisał w jednym z artykułów hamburski „Die Zeit" — dlatego jest tak skomplikowana, że każdy partner chce tego, czego pragnie istotnie, a równocześnie odwrotności tego, czego rzeczywiście pragnie".

Krzyżują się interesy poszczególnych krajów, ścierają bardziej realistyczne oceny z mniej realistycznymi, toczy się walka o przywództwo i miejsce pierwszego partnera u boku Stanów Zjednoczonych... Wewnętrzne sprzeczności rozsadzają atlantycki dom.

Bylibyśmy jednak dalecy od realizmu, gdybyśmy w tej maleńkiej próbie bilansu minionych dni dostrzegali jedynie zjawiska i fakty dla nas pozytywne.

Obraz obecnej sytuacji jest bardziej złożony, a rok 1964 przekazuje swojemu następcy szereg trudnych, pilnych problemów.

Mimo usilnego starania o położenie kresu rozbieżności w międzynarodowym ruchu robotniczym — jedność nie została przywrócona. Nikt zresztą nie oczekiwał, że złożone problemy znajdą swe rychłe rozwiązanie. Na to trzeba czasu, długich cierpliwych rozmów, wyjaśniania punkt po punkcie kontrowersyjnych spraw.

Dlatego też nie niecierpliwimy się, pozostawiając ich rozstrzygnięcie czasowi, który przed nami.

Rok 1964 przekazuje również jedną z najważniejszych w stosunkach międzynarodowych spraw — problem rozbrojenia. Nie udało się na tej drodze dokonać dalszego, zasadniczego postępu, mimo gorących zabiegów i przykładu Zw. Radzieckiego. Zapoczątkowany w roku 1963 przełom — nie owocował jeszcze nowymi porozumieniami. I tu 365 dni okazało się zbyt krótkim czasem, by przygotować grunt do dalszych kroków.

Chyba głównie dlatego, że zachodnich partnerów opętała, powtarzana z uporem maniaka przez Stany Zjednoczone, idea multilateralnych sił. Zapraszają one do atomowego pokera swych europejskich sojuszników, nie bacząc na to, że niektórzy wcale nie chcą zasiąść do gry, inni chcą z niej uczynić niebezpieczny hazard, a jeszcze inni — inaczej rozdać atutowe karty.

Kosztowna i niebezpieczna ma być ta nuklearna zabawa, zabawa, z której nic pożytku, a wiele zła. Dlaczego nie chcą tego zrozumieć projektodawcy? Czyżby łudzili się, że ich subiektywna wola może powstrzymać światowe tendencje do pokoju?

Przekazuje wreszcie stary rok nie wygaszone ogniska niepokoju w Kongu, Wietnamie, na Cyprze, nierozwiązany problem kolonializmu w jego starej gdzieniegdzie, a częściej nowej postaci, problem głodu i zacofania ekonomicznego wielu krajów.

Wraz z tym rejestrem spraw nie załatwionych — przekazuje jednak równocześnie wiarę w możliwość niesięgania do wojny jako środka rozstrzygania, przekazuje przekonanie o ludzkim rozsądku.

* * *

1964 rok zapisał się nie przemijającymi wydarzeniami na kartach dwudziestoletniej, powojennej historii Polski. Jubileusz naszego ojczystego kraju, podkreślony historycznym IV Zjazdem Partii, pozwolił precyzyjniej ustalić wspólny dorobek, skonfrontować go z 20-leciem międzywojennym, a także ustalić miejsce, jakie zajmujemy na arenie międzynarodowej.

Wynik tej konfrontacji na wszystkich płaszczyznach naszego życia zarejestrowany został w licznych oficjalnych dokumentach, lecz — co ważniejsze — również w ludzkiej pamięci, rodząc i umacniając w każdym z nas uczucie dumy.

Stąd właśnie bierze swój początek fala wielkiego ożywienia społecznego, dzięki której zamkniemy mijający rok efektami ekonomicznymi wyższymi od planowanych.

Porównując długie kolumny liczb, będących sumą pracowitych dni i miesięcy odchodzącego roku, odnajdując w nich swój udział — nie możemy przecież ograniczyć się do ich suchej, statystycznej wymowy. Nie są one bowiem w stanie wyrazić wszystkiego, co wniósł rok 1964.

Odnajdywać ten dorobek musimy również w kategoriach sumienności i odpowiedzialności, wyższej dyscypliny społecznej, bliższych modelowi socjalistycznemu postawach ludzkich.

I znów — dalecy bylibyśmy od prawdy, gdybyśmy zamykając kalendarzowy okres dostrzegali jedynie to, co korzystne. W skomplikowanej panoramie sytuacji gospodarczej są barwy radosne, ale i cienie. Poszerzyliśmy podstawę podstaw naszego życia — potencjał ekonomiczny, lecz przecież proces ten przebiegał nie bez trudności, wahnięć, czy wręcz niedostatków. Wiele z nich dostrzegliśmy w porę, określając środki zaradcze, wykrycie innych zależy od każdego z nas.

Mimo to można jednak powiedzieć: dobry to był rok, kolejny ważny etap realizacji socjalistycznego programu i określenia cieszących nas wszystkich perspektyw rozwojowych w nowym pięcioleciu.

* * *

Rok 1964 dobiega końca. Trudno jednak uznać go za zamknięty okres zarówno w polityce międzynarodowej, jak i zagranicznej. Poprzez wszystkie kartki nowego kalendarza napiszmy więc słowo: kontynuujmy. Kontynuujmy sprawę, której wszyscy — niezależnie od tego, jaki życie wyznaczyło nam warsztat pracy — oddawaliśmy w odchodzącym roku swe siły i rozum.

W. SŁAWSKI

Z sesji naukowej

DOROBEK KULTURALNY WOJEWÓDZTWA

Dwa dni trwała sesja popularnonaukowa sumująca dorobek województwa w dziedzinie upowszechnienia kultury w okresie 20-lecia Polski Ludowej. Wzięli w niej udział przedstawiciele władz partyjnych z I sekretarzem KW PZPR — S. Jędryszczakiem i administracyjnych województwa z przewodniczącym Prez. Woj. RN — Fr. Grochalskim oraz liczne grono naukowców z łódzkich wyższych uczelni. Obok nich w sali obrad zasiedli działacze zajmujący się na co dzień pracą w dziedzinie upowszechnienia kultury. Obradom przewodniczył prof. dr S. Hrabec.

Retrospektywny referat mgr E. Siekowskiego i mgr A. Fudały ukazał długą drogę postępu kulturalnego w oparciu o bilans obu dwudziestoleci. Porównanie to wypada zupełnie jednoznacznie. Wojna i okupacja sprawiły, że musieliśmy w nowej rzeczywistości startować niemal od zera. Trzeba było przygotowywać równolegle świadomych odbiorców oraz bazę dla upowszechnienia kultury. Warto wspomnieć, że na dynamiczny rozwój kulturalny województwa duży wpływ miała społeczna postawa działaczy, a nawet zwykłych konsumentów kultury. Dzięki bezinteresownej działalności wielu ludzi, dzięki ofiarności społeczeństwa zbudowano w naszym województwie setki i tysiące placówek, w których prowadzi się pracę kulturalną i oświatową.

Wystarczy zajrzeć do tabel umieszczonych na końcu referatu, by zorientować się, **że w bibliotekach naszego województwa mieliśmy w końcu 1963 roku przeszło 2.000.000 tomów**, podczas gdy w roku 1938 we wszystkich bibliotekach publicznych w Polsce znajdowało się tylko 1.700.000 tomów. Notuje się też **ogromny wzrost czytelnictwa** na przestrzeni ostatniego dwudziestolecia. Wiąże się to niewątpliwie ze wzrostem liczby osób, które ukończyły szkoły średnie i wyższe, oraz z pełną realizacją postulatu **powszechności oświaty**. Trudno byłoby tu omawiać szeroko wszystkie osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury i oświaty, ale wspomniane zjawiska można uważać za symptomatyczne.

Referat doc. dr A. Kłoskowskiej poświęcony był funkcjom, jakie w rozwoju kulturalnym województwa odgrywa Łódź. Wielkie miasto skupiające twórców i działaczy kultury, siedziba wielu instytucji i placówek naukowych i kulturalnych odgrywa ogromną rolę w rozwoju kulturalnym województwa. Obserwujemy także wpływ województwa na rozwój kulturalny Łodzi. Jednak dotychczasowe poczynania integracyjne nie mogą jeszcze zadowolić. **I tu otwiera się duże pole do działania zarówno dla łódzkich naukowców, jak i ludzi kultury — twórców i działaczy zarówno w terenie jak i w mieście.**

Prof. dr A. Zawistowicz-Adamska omówiła w swym referacie rolę badań etnograficznych w naszym regionie dla rozwoju kulturalnego i poznania historii Ziemi Łódzkiej. Chodzi tu głównie o problem przeciwdziałania standaryzacji kultury. **Dokładna znajomość tej problematyki może i powinna przyczynić się do wyzwolenia nowych sił społecznych w poszczególnych środowiskach i podejmowania nowych cennych inicjatyw.** Ma to szczególne znaczenie w dobie szybkiej industrializacji kraju, a co za tym idzie uniformizacji kultury masowej.

W obszernym referacie dr I. Lepalczyk poświęconym głównie problemom życia kulturalnego jednego z największych powiatów w naszym województwie — pokazano, jak rozwój ruchu kulturalnego i pracy oświatowej w powiązaniu z rozwojem gospodarczym regionu przyczynia się do przemian w dziedzinie wychowania nowego człowieka. Przy czym dr I. Lepalczyk zwróciła szczególną uwagę **na przemiany ideowe środowisk robotniczych i wiejskich.** Dla dokonania tego rodzaju analizy wybrano jeden powiat, ale zachodzące w nim zjawiska są charakterystyczne dla całego województwa. Referentka pokazała też jak powoli ale ciągle zachodzi proces zacierania się różnicy między miastem i wsią. Referat ten zawierający mniej cyfr i analiz, niż poprzednie **pokazał rezultaty wytężonej pracy pracowników i działaczy zajmujących się rozwojem kultury w naszym województwie.**

Postępujący szybko rozwój gospodarczy naszego województwa wymagał i wymaga przygotowania kadr z odpowiednim wykształceniem zawodowym. Co zrobiono w tej dziedzinie w okresie dwudziestolecia, jakie zadania stoją jeszcze nie tylko przed szkolnictwem, lecz także przed organizacjami społecznymi, omówił w swym referacie doc. dr K. Żygulski. Wiąże się to szczególnie z rozwojem rolnictwa i profesjonalizacją rolników. **W tej dziedzinie mamy szczególnie wiele do zrobienia i tu największą rolę w dziedzinie dokształcania mają organizacje społeczne.**

Obszerne referaty, przygotowane przez wybitnych specjalistów, nie mogły rzecz prosta objąć wszystkich zagadnień i problemów jakie stają na co dzień przed działaczami i ludźmi kultury. Tym ciekawsza była dyskusja, w której zabierali głos działacze i ludzie nauki z prof. dr S. Hrabcem na czele.

Sekretarz KW PZPR, W. Bek podkreślił w swym przemówieniu, **że istnieją szczególne związki między rozwojem kultury i oświaty a działalnością ideową.** Związek ten istnieje i rozwija się od momentu, gdy w kraju naszym dokonała się rewolucja — nie tylko ustrojowa, lecz także kulturalna. Bo przecież po raz pierwszy w dziejach naszego narodu, szerokie masy uzyskały dostęp do nauki, umożliwiono im dostęp do wszelkich dóbr kulturalnych. **Chodzi o to, by rozbudzić w pełni zainteresowania mas, by w pełni korzystały ze wszystkich dóbr kulturalnych i tworzyły nowe wartości.**

Inni dyskutanci podkreślali, że jest jeszcze wiele do zrobienia, że nie możemy poprzestać na tym, co już osiągnęliśmy. W dalszym ciągu będzie się więc rozbudowywać placówki upowszechnienia kultury, będziemy dbać o rozwój kulturalny całego województwa. Ale najwięcej mają do zrobienia społeczni działacze, organizacje społeczne — wszyscy, którzy zajmują się pracą kulturalną na co dzień. Przewiduje się silniejsze niż dotychczas powiązanie łódzkiego ośrodka naukowego z województwem.

J. H. WIŚNIEWSKI

Rys. Florica Cordescu

KONRAD FREJDLICH

WIELKA IMPROWIZACJA

Fot. W. Parys

Ogólnopolski Przegląd Teatrów Studenckich spłynął na Łódź dość niespodziewanie, jak deszcz jakiś życiodajny, zaskakujący wszystkich bez wyjątku nie wyłączając organizatorów, których mamy zaszczyt wymienić wg kolejności z wydrukowanego (a zdaje się i rozesłanego w ilości 150 egzemplarzy) zaproszenia: Rada Okręgowa ZSP, Wydział Kultury PRN m. Łodzi, Komitet do Spraw Radiofonii „Polskie Radio i Telewizja" w Łodzi. Patronat nad Przeglądem objął sam Ojciec Miasta, mgr Edward Kaźmierczak.

Ogólnopolski Przegląd Teatrów Studenckich nazywany już w czasie pierwszego, inauguracyjnego spektaklu „Termitiery" Jerzego Krechowicza (nie mylić ze Zbigniewem Nienackim) festiwalem, stał się ostatecznie Łódzkimi Studenckimi Spotkaniami Teatralnymi. Są to wreszcie już nie tylko Spotkania, ale instytucja, i to na ogólnopolską skalę, gdyż zapowiedziano powtórzenie jej w roku przyszłym i latach następnych. Główne trofeum stanowić będzie uroczy ceramiczny siwak Wacława Kondka — „Bożek Deszczu".

Wiadomo, nie ma deszczu bez chmur. Pierwszą chmurką, która przyćmiła jaskrawe światła scenicznych reflektorów, była postrzegalna dla wszystkich nieobecność na spektaklach artysty-rzeźbiarza Wacława Kondka, spod którego ręki, bądź co bądź, wyszła główna nagroda Spotkań. Ponieważ Kondek współpracujący stale z naszą redakcją omijał w ciągu trzech konkursowych dni schody i progi domu prasy, wszystkim się zdawało, że artysta zapadł gwałtownie na zdrowiu, co przy grudniowych pogodach nie jest w końcu takie trudne. Ale już następnego dnia Kondek rozwiał nasze wątpliwości: siedział w domu i czytał prasę wyszukując w niej skąpych relacji z festiwalu, gdyż jako człowiek wrażliwy, a więc i nieśmiały, nie miał czelności pchać się na spektakle i uroczyste rozdanie nagród bez zaproszenia.

Niechże mu będzie pociechą, że zaproszenia bynajmniej nie otwierały tak po prostu przed ich właścicielami drzwi teatrow. W foyer okazywało się, że drukowanym zielono na białym słowom uprzejmości bez reszty wierzyć niepodobna. Wydano bowiem zaproszeń grubo więcej niż ich wydać było można i maleńkię salki „Cytryny" i „Pstrąga" trzeszczały wprost w szwach pod naporem uprawnionych do wstępu na imprezy. Rychło też nastąpiła inflacja wszelkiego typu wejściówek, których nikt już nie chciał honorować, zwłaszcza że równolegle odbywała się sprzedaż biletów uprawniających do wejścia. Od strony organizacyjnej Spotkania były jedną, wielką improwizacją.

Wszelkie niedostatki organizacji wynagrodził jednak poziom spektakli, zaprezentowano nam bowiem reprezentację rzeczywiście najlepszych zjawisk artystycznych w teatralnym ruchu studenckim, czterech ośrodków akademickich: Gdańska, Krakowa, Łodzi i Wrocławia. (Warszawę, która jak wiadomo jest przedmieściem Łodzi, reprezentowały dwa nasze zespoły: „Pstrąg" i „Cytryna"). Były to zjawiska frapujące, ale w zasadzie nieporównywalne (od awangardy poprzez pantomimę do teatru klasycznego i politycznego aż po kabaret) toteż ilekroć reflektory wychwyciły z ciemności sylwetkę prof. Aleksandra Bardiniego, przewodniczącego jury, zachodziłem w głowę jak też ciało oceniające potrafi sprowadzić tę mnogość do wspólnego mianownika i jaką przyjmie skale wartości dla tych zdawałoby się antynomii. Trzeba tu się było bowiem zdobyć na decyzję iście Salomonową. Ale jury, w którym zasiadali m. in. Maria Lorberowa, Marian Grześczak, Janusz Kłosiński, Lech Terpiłowski, znalazło mimo wszystko wyjście decydując się na premiowanie osiągnięć cząstkowych. Za kryterium oceny przyjęto bowiem zdobycze zespołów na odcinkach elementarnych a więc takich jak reżyseria czy inscenizacja, światło, scenografia, gest i głos aktora, tekst literacki wreszcie.

Najwięcej dyskusji wśród publiczności wzbudził spektakl gdańskiej „Galerii" czyli teatru plastyków sopockich, w którym mamy już nie tylko dominantę elementów plastycznych nad literackimi, co w ogóle rezygnację z tekstu. Całe przedstawienie „Termitiery" było cyklem nastrojowych obrazów, niejako salonem wystawowym, z wyraźną tendencją: odchodzić od teatru! Nie tylko salonem malarstwa, ale i rzeźby. Przewalające się, pozornie bezładnie, po scenie niegeometryczne bryły miały za zadanie organizować przestrzeń nadając jej sens wyłącznie estetyczny. Spektakl „Termitiery" miał wiele wspólnego z fin-desiècle'owymi teatrami cieni czy też Théâtre d'Art Pawła Forta, ale tylko w warstwie najbardziej zewnętrznej na zasadzie podobieństwa zastosowanej maszynerii. Różnił się spektakl Krechowicza przede wszystkim ideą teatru: przemówiła w nich sama plastyka, barwa i światło, stawiając tamę dla wszelkich asocjacji literackich. Był to niewątpliwie najoryginalniejszy spektakl Spotkań. Gdańsk, który przynajmniej od lat kilku był ośrodkiem budzących żywą uwagę poczynań artystycznych w dziedzinie teatrów studenckich (przypomnijmy słynne „Bim-Bom", „Co to", „To-Tu", „Cyrk Rodziny Afanasjew", a ostatnio „Teatr Rozmów") nie pozwolił sobie odebrać palmy pierwszeństwa. „Bożek Deszczu", przechodnia nagroda Spotkań, wywędrował więc nad morze, pytanie jednak na jak długo, gdyż inne zespoły, które wzięły udział w przeglądzie łódzkim, nie są chyba bez szans w roku przyszłym.

Zwłaszcza wrocławski teatr „Gest" spektaklem „Mowa ciszy" wyreżyserowanym przez J. Puzulewicza, zaznaczył swoją obecność na Spotkaniach konkurując niekiedy pomysłowością z „Galerią" gdańszczan. Idzie o stopień oryginalności, a nie o porównywalność obu przedstawień. Teatr wrocławski jest bowiem pantomimą. Dominuje w nim aktor, mimika twarzy aktora i gest. W „Mowie ciszy" zaprezentowano dobry warsztat aktorski, a mim Marek Gołębiowski dał popis kanonu gestu niemal według recepty teatru chińskiego, co znalazło uznanie jury (nagroda za osiągnięcia aktorskie) i sali oklaskującej każde pojawienie się na scenie wrocławskiego studenta. Scenariuszowo „Mowa ciszy" była nierówna. Obok kapitalnych pomysłów, których przykładem mogą być „Milusińscy" czy „Przyjęcie" zdarzały się puszczenia jak na przykład scena finałowa zatytułowana „Pieniądz". Spektakl „Gestu" wyróżniło specjalne jury studenckie, pracujące niezależnie od właściwego jury Spotkań, któremu przewodniczył prof. Aleksander Bardini.

Duże zainteresowanie wzbudziły oba teatry krakowskie. Zwłaszcza „Teatr 38" ma już wyrobioną, jak to się powiada, markę. Pewnym zaskoczeniem było to, że krakowianie pokazali na Spotkaniach „Sędziów" Wyspiańskiego, a więc sztukę, z której publikacją zwlekał nawet sam autor. Innowacja w postaci dodanego przez inscenizatorów prologu Lucjana Rydla nie mogła uratować tekstu, w którym trudno szukać jakichś odniesień do współczesności. Nic więc dziwnego, że w przedstawieniu dominowała scenografia Ewy Czuby (nagroda jury).

Znacznie żywiej zabrzmiał ze sceny Mrożek na spektaklu „Ucieczki na południe" w wykonaniu grupy „Salamandra". Aktorzy w celu nawiązania ściślejszej więzi z widzem przekroczyli bariery sceny i proscenium schodząc na widownię, co nie było takie łatwe, gdyż sala nabita była do ostatniego miejsca i widzowie zalegali nawet podłogę. Tekst Mrożka został zaadaptowany przez A. Mroza i W. Jesionkę (nagroda jury za adaptację) dzięki czemu ze sceny padały słowa dotyczące bezpośrednio ruchu studenckiego. Mieliśmy więc jednocześnie i teatr i kabaret w dobrym zresztą wykonaniu, ze świetnym Krzysztofem Pietschem nagrodzonym przez jury za osiągnięcia aktorskie.

Wreszcie kolej na omówienie obu spektakli łódzkich teatrów studenckich: „Cytryny" i „Pstrąga". Nie wystarczy jednak zrecenzowanie samych przedstawień, trzeba wspomnieć o klimacie rywalizacji na miarę igrzysk sportowych. Jeszcze na moment przed ogłoszeniem werdyktu jury zwolennicy każdego z teatrów robili w Klubie Studenta ryzykowne zakłady, jakby to mogło mieć wpływ na ocenę. „Cytryna" przedstawiła program wyreżyserowany przez J. Kwapisza, pt. „Tempo z przedrostkiem" (premiera w lutym br.), który wypadł dość blado na tle całości Spotkań, co wynika z niezrozumienia przez inscenizatorów roli i funkcji kabaretu politycznego. Zakrojony ambitnie program oscylował wskutek tego w kierunku dowcipu wykształconego przez „Podwieczorek przy mikrofonie" i wrażenia tego nie mogła zatrzeć dojrzała gra aktorów. Momentami był to po prostu dobry kabaret (Piosenka „Fanariki"). „Cytryna" jest teatrem ambitnych poszukiwań, w „Tempie z przedrostkiem" nie odnalazła siebie, choć nawet w tym spektaklu widać ślady tych poszukiwań, które dobrze wróżą zespołowi na następne Spotkania.

Model studenckiego teatru politycznego zaprezentował „Pstrąg" wystawiając „Między wójtem i plebanem", adaptację powieści Guareschi dokonaną przez Juliana Brysza i Leszka Skrzydło (nagroda jury za adaptację). Szkoda, że znakomity tekst był psuty przez liczne „sypnięcia" aktorów kreujących postaci Wójta i Don Camilla. Niedopracowanie sztuki tłumaczyć sobie trzeba tym, że „Między wójtem i plebanem" zostało wystawione na Spotkaniach przed właściwą premierą, ale nawet ten okaleczony spektakl zapowiada dobry teatr. Repertuarowo, moim zdaniem, „Pstrąg" zaprezentował się najkorzystniej na tle całych Spotkań.

Łódzkie Studenckie Spotkania Teatralne są inicjatywą, o której trzeba mówić, mimo licznych mankamentów organizacyjnych pierwszego festiwalu, w samych superlatywach. Były one bowiem okazją, (a w każdym razie usiłowały być), do konfrontacji szczytowych osiągnięć teatrów studenckich całego kraju — rzadka gratka dla samych rywalizujących o palmę pierwszeństwa zespołów i dla przeciętnego widza studenta i nie-studenta. Czy tegoroczne spotkania pozwoliły odpowiedzieć na pytanie: quo vadis teatrze studencki? Trudno wypowiedzieć się jednoznacznie. Linię ewolucyjną teatrów studenckich prześledzić będziemy mogli dopiero na Spotkaniach następnych, pewnie jeszcze nie tych drugich, bo to okres czasu za krótki. Już dziś jednak można stwierdzić, że ambitne poszukiwania formalne i repertuarowe nie ustają. Teatry studenckie są w dalszym ciągu eksperymentalnym laboratorium dla scen zawodowych. Są w końcu już całą epoką naszej współczesnej kultury.

Doktor Jarecki gra va banc!

MÓZG ELEKTRONOWY ROZWIĄZUJE TAJEMNICE RULETKI

Z początku nikt na nich nie zwracał uwagi. Mało ludzi przychodzi do kasyna popatrzeć na „koło szczęścia" — ruletkę. Niemal wszyscy wchodzą tu z przeświadczeniem, że przy zielonym stoliku zgarną miliony. No, ale żeby wygrać, trzeba mieć pieniądze, dużo pieniędzy. A ci młodzi ludzie wcale nie wyglądali na bogaczy. Przychodzili co dzień, stawali skromnie przy stołach gry, przyglądali się i bardzo skrzętnie zapisywali w notesach numery wszystkich wygranych.

— Tak sobie, dla przyjemności — odpowiadali na pytania zaintrygowanych tym bywalców klubu, którzy pytali, po co im ta arytmetyka.

Dwa miesiące później Monte-Carlo przeżyło dni grozy. Owi młodzi, skromni ludzie przyszli pewnego dnia do kasyna i zaczęli grać. I to jak grać! Numer 5 — wygrana, numer 16 — wygrana. Każda dowolna stawka — wygrana! Zgarnęli w tym dniu tysiące, dziesiątki tysięcy franków. I poszli...

Właściciele kasyna uderzyli na alarm. Dziennikarze rzucili się w ślad za nimi. Kim są? Skąd się wzięli?

— Jeżeli mnie i moim kolegom nikt nie przeszkodzi, to w przeciągu roku wszystkie domy gry w Monte Carlo znajdą się w naszych rękach — oświadczył dziennikarzom niejako kierownik tej grupy młodych ludzi, doktor Jarecki.

Doktor ma 33 lata. Z zawodu jest lekarzem medycyny. Jarecki wraz ze swymi przyjaciółmi, Hansem Bukle i B. Grankiem, zanotowali kilka tysięcy wariantów wygranych w domach gry w Monte-Carlo, Nicei i San-Remo. Następnie owe zapisy zakodowali i przesłali do Londynu swemu koledze, który z kolei opracował je przy pomocy maszyny elektronowej typu „Ferranti atlas".

Jak twierdzą dziennikarze, maszyna zrobiła to, czego dotąd nie był w stanie zrobić człowiek — rozwiązała i podała wiele wariantów wygranej.

Tak czy inaczej fakty mówią za siebie. Po otrzymaniu danych elektronowego gracza Jarecki usiadł przy stole z zielonym suknem i wygrał w San Remo tak zawrotną sumę pieniędzy, że zrobiło się o tym głośno we wszystkich domach gry w Europie. Żeby nie wzbudzać podejrzeń szybko wyjechał do Monte-Carlo. Tutaj zasiadła do ruletki jego żona Karola. Zasiadła i w przeciągu paru godzin wygrała fantastyczną sumę stu tysięcy marek.

Obecnie — jak podają gazety — „grający" syndykat Jareckiego rozwija „ożywioną działalność" w znanej zachodnioniemieckiej miejscowości wypoczynkowej Baden-Baden. Tu również znajduje się mnóstwo domów gry, do których zjeżdżają najbogatsi snobi z Europy zachodniej i Ameryki.

O dalszych planach Jareckiego i jego „syndykatu" chodzą różne słuchy. Jedni twierdzą, iż młody lekarz dąży do pięknego celu, mianowicie do całkowitego rozgromienia domów gry w Europie i likwidacji tych gniazd hazardu i deprawacji. Inni znów przypisują Jareckiemu i towarzyszom zwyczajną chęć zagarnięcia wielkich łupów.

Jeden z właścicieli domów gry w Baden-Baden powiedział dziennikarzom:

— Ci młodzi ludzie wcale nas nie przerażają. Tu przepływają takie miliony, że nie dadzą im rady. Źle tylko, że narobili tyle szumu. To nam wcale niepotrzebne.

Tak, pogromcy rulety rzeczywiście narobili wiele hałasu. Prasa krajów, zachodnich, zainteresowana tym sensacyjnym wydarzeniem, zaczęła już pisać o dzikich obyczajach panujących w domach gry i kasynach. Przebąkuje też o tym, kto zasiada do stołów z ruletką. A wiadomo, że wśród stałych bywalców tych lokali znaleźli się ludzie, których nazwisk dziennikarze nie zaryzykowali wymienić z obawy przed skandalem politycznym... (s)

FELIKS BĄBOL

Nie ma ucieczki przed motoryzacją

Gdy swego czasu wybuchła w Radomiu afera skórzana jeden z dziennikarzy snując porównania na temat „afery — samochody" doszedł do wniosku, że jest to najbardziej zmotoryzowane miasto w Polsce. To było kilka lat temu i nikt nawet nie zwrócił uwagi, że te sensacyjne wnioski na temat wzajemnych zależności między lewymi zarobkami złodziei i aferzystów a tempem rozwoju motoryzacji w naszym kraju są właściwie dalszym ciągiem myślowego schematu reprezentowanego od pierwszych dni po wojnie przez:

- Urzędników wydziałów finansowych pilnie kontrolujących każde 10 tysięcy przeznaczone na samochód,
- Ludzi planujących rozwój stacji benzynowych, stacji obsługi i całego tzw. zaplecza motoryzacyjnego,
- Wrogów czterech kółek, jeśli te cztery kółka należą nie do nich samych, a do ich sąsiadów...

A tymczasem wszystkie znaki na samochodowym niebie i naszej polskiej ziemi

wskazują na to, że po 20 latach błędów w ocenie zjawiska, któremu na imię motoryzacja, czas wreszcie na spojrzenie prawdzie w oczy. Bo czy chcemy czy nie chcemy zmusza nas do tego naga rzeczywistość.

W PKO, której nasz naród powierza obecnie 35 miliardów zł swych oszczędności — każda co dziesiąta złotówka przeznaczona jest właśnie na nic innego jak na samochód (suma wpłacona na książeczki samochodowe sięga już 3 i pół miliarda zł).

POŻYCZKI udzielone przez ORS na zakup prywatnych samochodów opiewają już w tej chwili na ponad 600 milionów zł.

U NAS W ŁODZI „Syreny" czy „Warszawy" kupują sobie przy pomocy państwowego kredytu (przez ORS właśnie) nawet robotnicy zarabiający 1.500—2.000 zł miesięcznie, a pożyczek na ten cel udzielono w br. na sumę 59 mln, co oznacza, że prawie dziesiąta część tego co ORS pożycza w całej Polsce, pożyczana jest na samochody w naszym mieście.

W OSTATNICH KILKU LATACH zainteresowanie motoryzacją upowszechniło się tak dalece, że można już mówić o wyraźnym skoku w tej dziedzinie: oszczędności w PKO przeznaczone na samochody skoczyły w ciągu 2 lat dwukrotnie, dwukrotnie też wzrosła wysokość kredytów udzielonych przez ORS, a tylko w latach 1960—1962 ilość samochodów prywatnych zwiększyła się w naszym kraju o przeszło 40 tys. (do 131 tys.).

Zatrzymajmy się chwilę przy sprawach Łodzi. Jeżeli chodzi o ilość samochodów prywatnych w naszym mieście stanowiły one zaledwie jakieś 6,5 proc. prywatnego parku samochodowego w kraju, gdy jednak weźmiemy pod uwagę pęd obywatela do posiadania własnych czterech kółek, okaże się, że w tych ambicjach **stanowimy już całe 10 procent samochodowych ambicji w kraju** (bo dziesiąta część kredytu udzielonego przez ORS przypada właśnie na nasze miasto). Więc może czas uznać motoryzację za zjawisko nieodwracalne?

— Wie pan — mówił mi pewien dyrektor pewnej instytucji związanej z motoryzacją — do motoryzacji przez długi czas podchodziliśmy oficjalnie jak do problemu dojrzewania w rodzinie. I ojciec i matka zdawali sobie sprawę, że syna czy córkę trzeba wreszcie uświadomić w niektórych sprawach płci, ale że to problem wstydliwy, nikomu się do tego uświadamiania nie spieszyło. Więc syn czy córka uświadamiali się poza domem i nic dziwnego, że w wielu przypadkach trzeba później ciężko pracować nad usunięciem skutków nieprzemyślenia.

Zamykaliśmy oczy na wiele spraw i teraz ma pan skutki. Np. dramat z ogumieniem. Nowa fabryka w Olsztynie ma być gotowa dopiero za parę lat, a już dziś leżymy. Na świecie koniunktura na opony bardzo dobra, sprzedalibyśmy każdą ilość opon (nagle motoryzuje się kilkadziesiąt nowych republik Afryki i Azji) a my nie mamy co sprzedawać. Co gorsza — są i kłopoty z zakupami. Japonia, która pchała na potęgę swe opony gdzie się dało i to nawet na dość dogodnych warunkach już się dziś nie wprasza z towarem.

Skutków zapóźnienia w naszym spojrzeniu na motoryzacyjną rzeczywistość jest

znacznie więcej. Dla przykładu — wzajemne proporcje między produkcją nowych samochodów a rozwojem zaplecza samochodowego. Wszędzie na świecie ten stosunek ma się jak 30 do 70, tylko u nas jest akurat odwrotnie. Samochodów produkujemy i sprowadzamy za 70, a zaplecze motoryzacyjne (stacje obsługi, garaże, stacje benzynowe, produkcja części itp.) zorganizowaliśmy na 30...

Więc dochodzi do tego, że z najmniejszym drobiazgiem w państwowym samochodzie („Syreny", „Warszawy") trzeba szukać łaski u prywatnego mechanika, że w stacji obsługi trzeba stanąć ze swym wozem (nabytym przez ORS) już o 7 rano, aby wóz mógł dostać się na kanał o 3 po południu. Zanotujmy też, że w Pabianicach w nowej pięknej stacji obsługi na każdego posiadacza samochodu osobowego patrzą jak na Marsjanina, **bo ta stacja remontuje, ale „kapitalnie" i przeważnie... „Stary"**. Kapitalny remont „Stara" kosztuje prawie tyle co „Star" nowy, ale że przedsiębiorstwo, które i tak ma fundusze na remonty kapitalne swych wozów ani to ziębi ani parzy — więc TOS pabianicki przekracza w łatwy sposób plany, inkasuje premie, a tylko drobni właściciele „Syren", „Warszaw" czy „Moskwiczów" odchodzący z TOS z kwitkiem kiwają nad tym smętnie głowami.

* * *

Kto kupuje samochody? Jest faktem, że dla zabezpieczenia majątku na oskarżonym w tym czy innym procesie zajmuje się prywatne samochody winnych nadużyć na szkodę naszej gospodarki, **ale faktem jest, też jednak, że „Syreny" i „Warszawy" kupują sobie na raty technicy — nie tylko inżynierowie, robotnicy — nie tylko majstrowie.** Ostatnio w łódzkim ORS-ie zawarto umowy kredytowe z pewnym robotnikiem, który zarabia 1.200 zł miesięcznie, z pewnym majstrem włókienniczym, zarabiającym 2.600 zł, z pewną bileterką kina na prowincji podłódzkiej. Ów robotnik ma rodzinę składającą się z trzech osób, meble zostały już dawno spłacone, a mieszkanie przydzieliło państwo, więc jedyną życiową ambicją został już tylko samochód. Sytuacja u owego majstra podobna — z tym, że jemu będzie jeszcze łatwiej spłacić raty za samochód.

Coraz więcej też kupuje wieś. Na wieś np. poszły „Trabanty-combi", które w Łodzi jakoś zbyt długo czekały na amatorów, na wsi kupują samochody i zasobniejsi rolnicy, i ogrodnicy, ci co wyspecjalizowali się w produkcji kontraktowego lnu czy konopi.

A teraz — co kupują? W masie — idą krajowe wozy, bo warunki dogodne i łatwiej nieco o części zamienne i akcesoria. Koneserzy motoryzacyjni jednak wybierają między „Fiatem" a „Zastavą", bo choć „Zastava" to niby „Fiat" jugosłowiański na licencji włoskiej, ale wiadomo, że to nie to samo. Ci sami spece widzą różnice między „Pobiedami" i „Warszawami".

* * *

Mówiliśmy o SOT-ach, więc parę słów o częściach. **I z nimi jest dramat, bo istotnie, gdy klient przyjdzie do sklepu, to okazuje się, że w sklepie jest wszystko tylko nie ma akurat tego drobiazgu za kilka czy kilkadziesiąt złotych, potrzebnego właśnie klientowi.** Ale zwróćmy uwagę, że w Polsce jeździ obecnie po drogach jakieś 50 różnych marek samochodowych, więc idealny sklep z częściami powinien mieć na swych regałach około... 100 tys. artykułów.

Wiele krwi klienta kosztuje jednak problem części, które w sklepie są, ale których i tak kupić nie może. **Dlatego, że należą do całych zespołów i kompletów.** Np. pływak do gaźnika kosztuje 40 zł, ale go nie dostaniesz, bo należy do kompletu za 900 zł. A cen na wiele takich drobiazgów nie ma. Jak słychać, ustalenie cen jednostkowych na części jest sprawą tak trudną, gdyż nie ma u nas jeszcze jasności w podstawowej sprawie: czy cena wszystkich części ma się równać cenie całego samochodu zmontowanego (jakby nakazywał zdrowy rozsądek), czy też części mają kosztować taniej lub drożej niż cały samochód? Zarysowały się w tej sprawie trzy teorie cennikowe:

- Wszystkie części nie mogą kosztować więcej niż cały samochód,
- wszystkie części powinny kosztować dużo więcej niż cały samochód (bo i handel przecież nie może pracować za darmo),
- wszystkie części powinny kosztować tylko około 90 proc. ceny całego wozu (bo i na montaż trzeba przeznaczyć pewną kwotę).

A że dyskusja jest rzeczowa i że trwa, więc i na wiele artykułów motoryzacyjnych nie ma jeszcze cen.

* * *

Rzeczywistość toruje sobie jednak drogę — nawet poprzez rafy. **W naszym województwie np. części samochodowych sprzedaje się za kilkaset milionów zł rocznie, co jest wielokrotną wartością samochodów sprzedanych w ciągu roku.** Inna rzecz, że części wyklepują u nas już i kowale i ślusarze i kołodzieje jak trzeba, inna — że na częściach zbijają ciężką forsę „mechanicy" i „technicy", którzy o mechanice i technice przypomnieli sobie nagle w związku z najmodniejszym żywiołem — motoryzacją.

Wydaje się więc, że nie doceniamy jeszcze powagi zjawiska. Nawet w tak drobnej

sprawie, jak handel artykułami motoryzacyjnymi. Płace sprzedawców w sklepach „Motozbytu" są takie same jak w sklepach z marchwią i gruszkami, choć do gaźników i uszczelek trzeba trochę więcej wiedzy niż do warzyw, choć handel sprzętem motoryzacyjnym daje do budżetu kilkanaście razy więcej niż pietruszka, choć każdy sprzedawca artykułów motoryzacyjnych odpowiada osobiście **za majątek państwowy wartości paru milionów zł.**

Wydaje się też, że pęd do motoryzacji jest już zbyt powszechny, aby mógł być urzeczywistniany na żywioł, bez generalnego przemyślenia. Zwróćmy tylko uwagę na tych wszystkich, którzy jeszcze własnego wozu nie mają, ale już o nim myślą, już uczą się na pamięć znaków drogowych, już zapisali się na kurs samochodowy, czy też już go ukończyli. **Od 1957 roku ilość praw jazdy (tzw. amatorskich) wzrosła w Łodzi trzy razy, a w tej chwili potrafi w tym mieście prowadzić wóz już co dwudziesty łodzianin — wliczając do tej statystyki nawet dzieci i starców. Tych praw jazdy mamy już 35 tysięcy.**

Trzeba chyba również przemyśleć raz jeszcze sprawę budowy pomieszczeń na garaże. Od kilku lat w nowych osiedlach garaży się już nie buduje, bo to drogie, bo to luksus, bo głównym obowiązkiem miasta i państwa jest możliwie w najkrótszym czasie dać obywatelowi dach nad głową, a nie nad jego „Syreną". To wszystko racja, ale rozejrzyjmy się wokoło — jak grzyby po deszczu wyrastają między ładnymi blokami na jeszcze ładniejszych osiedlach bardzo brzydkie budy i budki, szopy i komórki, **bo samochodów przybywa niezależnie od tego, że architekci nie przewidują garaży w budownictwie osiedlowym**, niezależnie również od zrozumiałego faktu, że bieda tych co czekają na mieszkanie jest większa od biedy z bezdomnym „Trabantem". Więc w sprawie garaży wyjście powinno się znaleźć w porę.

* * *

Obserwując nacisk społeczny na cztery kółka, na jak najlepszą organizację przemysłu motoryzacyjnego, handlu i zaplecza, trzeba stwierdzić, że rośnie on z roku na rok. Tym bardziej, że coraz powszechniejsze jest zrozumienie roli, jaką samochód odgrywa we współczesnym społeczeństwie:

- pomaga w pracy ludziom zmuszonym do częstego przenoszenia się z miejsca na miejsce, ludziom, których jedynym zmartwieniem (a takich ludzi mamy już coraz więcej) jest brak czasu,
- odciąża kolej, PKS, tramwaj i autobus (jeździmy zaś tymi środkami masowej komunikacji kilka razy więcej niż przed wojną),
- rozwija małe miasteczka (turystyka, hotele, garaże, stacje obsługi),
- idealnie urzeczywistnia ideę relaksu w tych czasach neuroz i nerwic,
- jest dodatkowym sprzymierzeńcem społeczeństwa w walce z alkoholizmem (z ćwiartką w czubie nie siądziesz za kierownicą, chyba, że w drodze do więzienia).

I sądzić należy, że przed motoryzacją nie ma już ucieczki. Jak epidemia ogarnęła cały świat, więc i my od motoryzacji się nie wymigamy. Jeśli zaś twój sąsiad, czytelniku, przestanie ci się kłaniać w dniu nabycia przez ciebie „Syreny" na raty, upatrując w tobie złodzieja i spekulanta, zapytaj go tylko, ile on sam przepija w ciągu miesiąca. Bo wielu nieświadomych nie zdaje sobie sprawy, że już za 400—500 zł miesięcznie można utrzymać swoje cztery kółka na chodzie. Nie wie też, że rodzin wydających na głupstwa czy na wódkę po 500—600 zł miesięcznie jest w Łodzi kilkadziesiąt razy więcej niż właścicieli „Syren".

Wielki konkurs świąteczny

CYTUJEMY SHAKESPEARE'A

KUPON KONKURSOWY

	Kto to powiedział?	W jakiej sztuce?
Świat jest teatrem, aktorami ludzie.		
Reszta jest milczeniem.		
O konia! Moje królestwo za konia!		
O, w państwie duńskim coś psuć się zaczyna.		
Chociaż to szaleństwo, jest w nim jednak metoda.		
Ta czaszka, panie, ta sama, była czaszką Jorika, królewskiego trefnisia.		
Chcesz sprząc swą córkę z berberyjskim koniem. Mieć rżące wnuki, bachmatów za krewnych I z dzianetami być w powinowactwie.		
Jak przed zabiciem, całowałem ciebie, Tak niech umieram, sam zabiwszy siebie.		
Kiss me, Kate.		
Żywot nasz krótki w sen jest owinięty.		
Dobranoc, luby! Jeszcze raz dobranoc! Smutek rozstania tak bardzo jest miły, Że by dobranoc wciąż usta mówiły		

Imię i nazwisko . . . . . .
Adres . . . . . .
Kupon konkursowy „Odgłosów" wypełnić, wyciąć, przesłać do redakcji do 5.I.1965 r.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Pięciolatek

W pewnym domu przy ulicy Jaracza, ładnych kilka lat temu, istniało coś ni pies ni wydra — ni kawiarnia to, ni barek. To cos jedni zwali Dziurą, inni — Tawerną, a oficjalnie był to studencki klub...

Ciasny, chłodny, z prymitywną toaletą i mizernym bufetem, z maleńką szatnią w kącie sali, szeregiem odrapanych stolików pośrodku i kolistą estradką przy wejściu (grali na tej estradzie, grali. W soboty i niedziele. Pianista z wdziękiem walił w rozstrojona machine) — był ów klub, owa Dziura vel Tawerna, najukochańszą speluną na świecie.

I najmodniejszą!

Tam nas przecież dopadła pierwsza fala rock and rollu. Tam po raz pierwszy w życiu wybałuszyłeś gały na telewizyjny cud (kłótnia, pamiętam, wówczas powstała: tańczyć czy oglądać program, ale chuligan Michaś decydujący miał głos, więc zabawę przerwał i podłączono dziwolaga do prądu). A gdzie jeśli nie w Dziurze powstał pierwszy klub jazzowy i studencki dyskusyjny klub filmowy? A gdzie grali tak, jak w Dziurze? Gdzie tak tańczyli?!

No to pchało się bractwo drzwiami i oknami. Karty wstępu nie obowiązywały, toteż obok narodu studenckiego, obok ubogich poetów i obszarpanych pseudoartystów siadywali sobie grzecznie, przy wątłych stolikach, nad szklankami kołchoźnego wińska, urkesi z Chojen i Śródmieścia. A gdy trochę mieli już w czubie — robili dintojrę. Tłukli się na schodach, w toalecie i bramie, w niedzielę i dni powszednie, z powodu i bez powodu, między sobą i z resztą publiczności.

Tłukli się tak rok, dwa i — klawa ta meta — mówili. — Tania i bardzo wesoła...

Ale przyszedł w końcu dzień, kiedy na nieszczęście urków i artystów, studenckiego narodu i poetów — Tawerna zatrzasnęła podwoje. Na zawsze!

Przyczynili się do tego współlokatorzy domu przy ulicy Jaracza; dość już mieli burd i wieczornej muzyki. Przyczynili się także ci, co kradli płaszcze z szatni i skromne utargi z wieczorków, ci, co wykorzystując naiwność staruszki - bufetowej otwierali sobie konta i brali za Bóg zapłać, na tak zwany kredyt, karnistry owocowych sikaczy, ci wszyscy więc o bezczelnym spojrzeniu, lepkich dłoniach i dynamicie w pięści.

Smutne nastały dla studentów wieczory. Szare, jak jesienny deszcz. Bo zechciej zrozumieć, że Tawernę zamknięto w chwili, gdy nikt jeszcze nie marzył o Uniwersyteckiej Bibliotece i strzelistym akademiku dla obcokrajowców, gdy nikomu się nie śniły liczne studenckie kawiarnie. Balbina, Bakałarz, Futurysta... Pocieszyć wówczas cię mogły mroczne lokale Śródmieścia, pijane zabawy fabryczne i deptak. Nudy niczym flaki!

Więc jeśli po długiej przerwie, przy dźwiękach stu orkiestr, w obecności ojców miasta, pod obstrzałem fotografów, przed magicznym okiem telewizyjnej kamery — otworzyłby nagle wrota inny klub studencki, komfortowy i ogromny, to co byś wtedy robił? Płakał?... Śmiał się?... Podskakiwał?...

Studenciaki wariowali z radości!

1.

Aby wtargnąć do nowego Klubu przy Piotrkowskiej 77, musiałeś mignąć studenckim dowodem, bądź specjalną wejściówką, ale zaraz na trzeci dzień po otwarciu, pewien urkes, który nie miał tych rzeczy, uśpił cerbera spojrzeniem i markując wielką obojętność przeszedł mu pod pachą, jak cień.

Urkes ten siadywał przedtem w Tawernie. Jeśli tam bywałeś — zapewne go znasz. To on zagrał jedną z głównych ról w etiudzie Polańskiego: „Rozbijamy zabawę". To o nim biegła fama, że ćwiartala wciąga nosem i rozkłada w pojedynkę pięciu... Ma blond włosy, bycze karczysko, odęte pogardą usta i gdy się zjawił, w ten trzeci dzionek po otwarciu, dopadł do niego jeden student.

— No i co?

— Ano... — powiedział urka i cmoknął wargami — bombonierka.

— Lepiej niż w Dziurze?

— Lepiej!

— Ale gdybyś się tak zdenerwował, gdybyś się tak bardzo zdenerwował, to gruzy?

Krępy urkes rozejrzał się po czyściutkich, kolorowych ścianach, po lampionach zawieszonych metr nad ziemią, po przestronnym, lśniącym barwnymi winami bufecie. Podrapał się zakłopotany w czaszkę i zamyślił:

Ale student koniecznie chciał wiedzieć.

— No, powiedz — nalegał — powiedz, co byś zrobił, gdybyś się tak bardzo zdenerwował?

Więc urkes powiedział:

— Gdybym się tak bardzo zdenerwował, to gruzy.

Jednak nie było gruzów. Owszem, zdarzały się w pierwszym okresie różne hece, ten tego zdzielił po łbie, tamten dostał w oko w mrocznej bramie, ktoś znów za dużo wypił i dyskretnie nabrudził... Trzeba wam wiedzieć, że w tym pierwszym okresie bufet sprzedawał wino, stąd — gdy coś brzydkiego się stało, zaraz było na bufet. Puryści krzyczeli — alkohol to zguba studenta, ręce precz od butelki, skasować wyskokowe napoje!... Ale nieprawda, że bractwo upijało się w klubie. „Czar pegeeru" i inne gatunki podawano tu w małych lampkach, a każdy zawodowiec gardzi takim piciem. Zawodowcy tankują w porządnych knajpach wodę ognistą z piwem. I to oni właśnie rozrabiali, bili się i brudzili, nic więc dziwnego, że gdy bufet przestał wino sprzedawać, problemu tym wcale nie załatwił — zawodowcy tankują w dalszym ciągu. Najłatwiej to zauważyć podczas tanecznych wieczorków. Wyskakują sobie na tak zwaną „chwilkę", do sąsiadującej z klubem Śródmiejskiej i zamiast kieliszka wina, którego w bufecie już nie ma (oj nie ma...) piją tajniaka, czyli sto gramów w piwie. Piją tego tajniaka i wracają do klubu — do więzienia, bo czyż to nie więzienie, jeśli na drzwiach napis stoi: „Wychodzisz na chwilę — zobaczymy się jutro".

— A skąd pan wie, że byłem na wódce? — zagina cerbera młodzieniec. — A może wyszedłem po dziewczynę?... — Po oczach nie poznasz czy pił, czy kłamie... czy ćwiartkę dzierży w kieszeni...

— No to, gdzie ta dziewczyna? — bada cerber.

— Nie ma, nie przyszła! Wolno jej chyba raz na kwartał nawalić? No jak pan myśli, wolno czy nie wolno?...

I wchodzi młodzieniec z powrotem na salę, i wcale nie jest pewne czy nie mówił prawdy.

— Co to, do cholery, więzienie? — mruczy sobie pod nosem i kiedy to słyszysz, nabierasz przekonania, że problem alkoholu nie został rozwiązany, choć trzeba przyznać, że zachwiani w równowadze gazerzy, żeby zachowywali się nie wiem jak spokojnie, zaczęli nagle zawadzać — razić oczy, drażnić, psuć atmosferę. Przestali, jak dawniej, budzić szacunek i powszechną wesołość.

Najładniej postępuje z nimi pan Fredek Miller.

— Idź, już bracie, do domu — namawia delikwenta. Ubiera biedaka w palto i delikatnie odprowadza do drzwi. — Idź, bracie, i się wyśpij.

Biedak potulnie wychodzi, a ogół temu przyklaskuje. Bo środowisko dojrzało — nie lubi, gdy ktoś przegnie pałę.

2.

A po roku stało się jasne, że nowy klub zrywa z tradycjami Tawerny. Nauczył się poznawać portier chuliganów; nie dał im się zadomowić. Pędził ich z zaciekłością żołnierza, nawet jak mieli wejściówki i byli studentami. Napiętnowani publicznie akademicy tracili słodką metę; zawieszał ich klub na rok, dwa, czasem dożywotnie — w zależności od rodzaju przestępstwa.

Surowe kary robiły swoje. Rozwiewały mity i złudzenia. Pięść, która kiedyś, ho, ho, liczyła się bardzo, poszła teraz do lamusa. Zresztą zanik kultu mięśni w środowisku akademickim wiązał się ściśle z ogólną sytuacją na froncie. Ostatnie, rozwydrzone niedobitki chuligańskich pak dostawały od MO w skórę, aż grzmiało. Znikały — jedna po drugiej — rozwrzeszczane bandy z deptaka; milicyjne radiowozy patroszyły Łodziankę, Łowicką i Warszawiankę, patrole wpadały do Egzotycznej i nie raz się zdarzyło, że otarły się o Klub. O jego bramę, mówiąc ściślej, bo gdy się coś ostatecznie miało rozegrać, to właśnie w bramie — najgłupszy pętak rozumiał, że bójka w centrum sali — to grób — wylanie z uczelni, areszt, albo i więzienie.

Kiedy najgłupszy szczeniak to zrozumiał zaczął powoli tracić chęć do jakiejkolwiek rozróby. Klub był piękny, wygodny, coraz sławniejszy, pełen muzyki i tańca — nie dobrze palić sobie taki klub. I od tej chwili zwykła na pozór kawiarnia rozpoczęła (podświadomie być może) wspaniałą akcję dobrego wychowania. Akcję bez słów, pogadanek i odczytów. Akcję cichego ultimatum, albo, albo. W walce o nowe obyczaje największym atutem kawiarni była jej atrakcyjność, splendor jaki ją otaczał. I to właśnie sprawiło, że młodzież zaczęła się zmieniać. Z tygodnia na tydzień. Aby zostać w raju. Zachodząca pod pewną presją konieczność innego sposobu bycia w ciągu kilku godzin spędzonych w klubie przechodziła w końcu w nawyk i metamorfoza dopełniała się ostatecznie. Nie chcę przez to twierdzić, że przemiana taka objęła całe studenckie, kawiarniano-klubowe środowisko. Wiem, że w akademikach przy Lumumby — szczególnie podczas tańców — element chuligański miesza się z naiwną młodzieżą, że najczęściej nad nią dominuje, spacza wiele chwiejnych charakterów, kusi do zła... A jak ktoś mnie spyta, czy studenci (ci z kawiarni i klubów) to dzieci?, powiem — tak! Bo, gdy trafię na Lumumby, kiedy grają saksofony, zobaczę setki sztucznie podnieconych i dziwacznie ubranych wyrostków, z których niejeden jest na cyku, z których nie jeden zachowuje się jak błazen, małpa lub chuligan, a wszyscy razem, kiedy tak kręcą się w kółko, przypominają kinderbal i słowa parodii: „Ja mam dwadzieścia lat, ty masz dwadzieścia lat, przed nami siódma klasa...". A jeśli są dziećmi, trzeba ich wychowywać i karcić. Metoda Klubu 77. Co prawda pewien obserwator twierdzi, że osiemdziesiąt procent bawiących się w akademikach nastolatków — to młodzież pozauczelniana. Pozostałe 20 proc. — to, według obserwatora, studenci lat najmłodszych. „Kogo więc wychowywać?" — pyta obserwator. Pomyślałem sobie, że trzeba tak „przemalować" kluby z Lumumby, aby przyciągnęły starsze roczniki. Aby — wzorem „Balbiny" — mniej dbały o wysokość utargu, a bardziej o atrakcyjność wieczorków. Tym sposobem w salach zrobi się nieco luźniej i wygodniej, zaś najmłodsi odizolują się od zła.

3.

A kiedy w „Klubie pod siódemkami" zapanował spokój, kiedy nabrałeś pewności, że żadna burda więcej się nie zdarzy, znalazła się grupa niezadowolonych. Mówili:

„Nudno tu, jak w kolejowej świetlicy".

Albo:

„Ani wina, ani piwa, fotele niewygodne, kawa słaba — trzeba przenieść się do Grandu".

Autorami tych słów byli ludzie studiujący z konieczności — pod presją rodziny, z obawy przed wojskiem. Wychowani w kawiarniach i zrośnięci z nimi na trwałe. Ludzie ci, wraz z gromadką nie studiujących satelitów — niebieskich ptaszków handlujących ciuchami i pazernych na taniec dziewczątek — nasiadywali czerwone kanapki kawiarni po dziesięć godzin dziennie. Nic dziwnego że po jakimś czasie mieli dosyć. Przy tym trybie życia, bez rygorów i jakiegokolwiek celu, nabiera się najpierw wstrętu do kawiarni, potem — do siebie. Następuje tak zwany „kac moralny" (określenie to tyczy stanów depresji psychicznej, w jaką, ponoć, popadają często zblazowane cienie płci obojga).

Pomiędzy niezadowolonymi byli także i tacy, co zjawiali się w klubie bardzo rzadko, czasami po pracy, po wykładach i ćwiczeniach. Mówili:

„Nudno tu, jak w kolejowej świetlicy".

Albo:

„Żadnych imprez, prelekcji, koncertów. Nie klub to, a najzwyklejsza tanchuda".

Mieli rację!

Zrozumieli wówczas kierownicy Klubu, że gleba dojrzała pod ziarno, że pora zmienić nieco program zajęć.

I w ciszę klubowych wieczorów, wypełnionych dotąd kawą, dymem, plotkami lub bezmyślnym milczeniem, poczęły się wdzierać pierwsze zwiastuny przemian.

Gdy zimą 1963 r. Klub hucznie obchodził trzecią rocznicę powstania, jego profil programowy zarysował się całkiem wyraźnie. Było to za chlubnej kadencji kierownika Kozłowskiego i szefa działu imprez — Czubaczyńskiego. Niemal każdego dnia trafiałeś teraz na prelekcje, odczyty, spotkania... Przez deski klubowej estrady przewinęła się cała plejada znakomitości literackich, od łódzkich począwszy — na Andrzejewskim, Iwaszkiewiczu i Putramencie robiąc koniec. Nie zabrakło dziennikarzy, publicystów i krytyków, reżyserów filmowych i aktorów, muzyków i piosenkarzy, plastyków, teoretyków sztuki i teatrologów... W drugiej sali klubu trafiałeś na wystawy grafiki, fotografii, plakatów i oczy twoje przestały błądzić bez celu. A uszy twoje, gdyś miał tylko ochotę, łowiły w niedzielne południa Chopina, Bacha, Strawińskiego, pieśni Szuberta i operowe arie.

Ale nie sama „kultura" biegła do nas z estrady. To sympatyczne, zbite z czarnych desek podwyższenie niejednokrotnie zamieniało się w katedrę. Profesorowie wyższych uczelni, docenci i asystenci wzbudzali, często, równie duże zainteresowanie i aplauz, co błyskotliwy Waldorff i popularny Łazuka. Zresztą, żeby się nie rozwodzić: każdemu, najbardziej wybrednemu studentowi coś wreszcie trafiło do gustu: jeśli nie lubił, gdy go straszą wyżem demograficznym — opuszczał prelekcję i szykował się na „Prawo karne", „Alkoholizm u młodzieży" lub spotkanie z ekspertem od spraw kryminalnych; nie interesowały go przepisy drogowe — szedł na gawędy z pułkownikiem straży pożarnej (bardzo dowcipnym); nie wierzył w cybernetykę — słuchał z otwartą buzią kolorowych relacji alpinistów i grotołazów; itd. i dalej, i dalej...

Na pierwszych spotkaniach sala świeciła pustkami. Obecni dzielili się na zainteresowanych i takich, którzy w tym czasie nie mieli co robić. Z upływem dni frekwencja wzrastała, i wreszcie, choćby nie Siemion i Holoubek, głos z estrady przestał mówić do ścian.

Na pierwszych spotkaniach w sali panowało milczenie; głos z estrady namawiał do dyskusji, prosił o pytania, ale audytorium miało tremę i przypominało głaz. Z upływem dni onieśmielenie znikało — pytań padały dziesiątki i setki, i dyskusje rozgorzały płomieniem. Imprezy zaplanowane na dziewięćdziesiąt minut przeciągały się do trzech godzin; autorzy spotkań byli zadowoleni, choć z twarzy ocierali pot.

— Ten klub — powiedział pewien absolwent Uniwersytetu patrząc na ożywione bractwo — ten klub, jak Boga kocham, aż się wierzyć nie chce... — i nie dokończył.

— Ten klub — powiedział drugi — odwala robotę za większość świetlic, kawiarń i SPATiF.

Nie, to nie komplement dla klubu. — Tam się można dokształcić!

* * *

„Pod siódemkami", „Pod kosami", a oficjalnie — „Centralny Klub Studentów Łodzi" za miesiąc skończy latek pięć. Gdy czas ten upłynie krzykniemy: „Żyj wiecznie" i pójdą w górę lampki... oranżady. Posypią się gratulacje i życzenia, które składają nie tylko kierownictwu, nie tylko sympatycznej Jadzi i Fredkowi (najuczciwszym z szatniarzy), nie wyłącznie cierpliwym barmankom... Szepnij także trzy ciepłe słowa opryskliwej kelnerce i krewkiemu portierowi — kto wie, może się odmienią?

Poza tym nie gniewaj się, proszę, żem zahaczył o studencki margines. Wiem, że akademików (wraz z tymi, co studiują zaocznie) jest w mieście dwadzieścia tysięcy. Wiem, że dziewiętnaście tysięcy (chyba nie przesadzam?) krytyce obyczajowej nie podlega. Zaś tysiąc chwiejnych, rozwydrzonych i leniwych, zmanierowanych, niewidomych i głuchych wylecza z pewnością liczne studenckie kluby, jeśli wezmą przykład, jak „Balbina", z tego „Pod siódemkami" — z „Pięciolatka".

„NOTATNIK KONSPIRACYJNY"

Dla francuskiego rysownika Toni Ungerera, współczesna cywilizacja degraduje człowieka do roli maszyny, która miała mu służyć i którą stworzył na swój wzór i podobieństwo. Oto kilka rysunków z jego tomu „Notatnik konspiracyjny", przedstawiających wizję dziwneg światka niezwykłego satyryka.

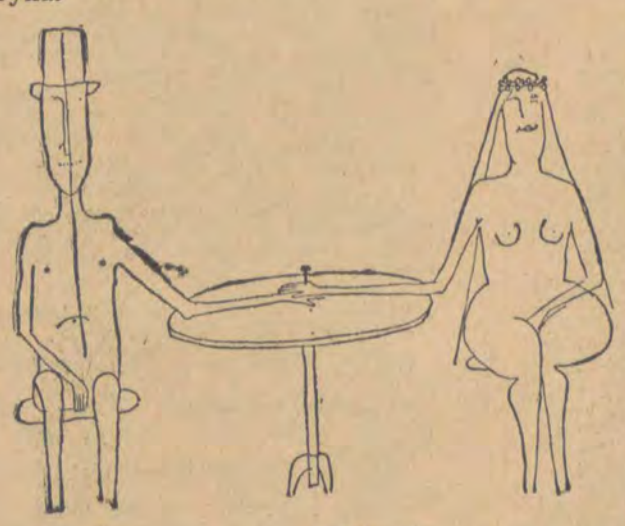

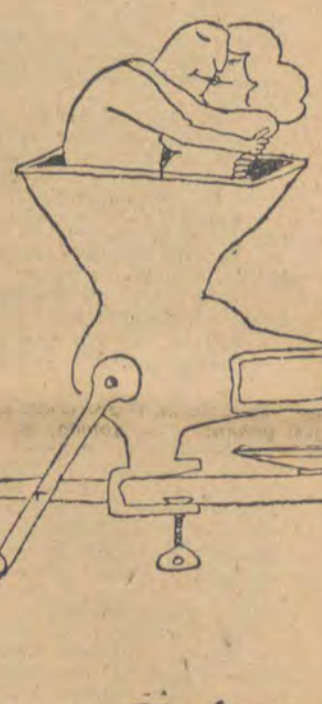

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Dynastia karcianych królów

Jaki jest rodowód, tej nigdy nie abdykującej dynastii? Kto powołał ją do życia? Kandydatów jest wielu. Wymieńmy tych najpoważniejszych. Arabowie, Hindusi, Chińczycy, Persowie i Żydzi. Za tymi ostatnimi przemawia Encyklopedia Orgelbranda z roku 1865, w której czytamy, że „Karty do gry wiodą początek od kart kabalistycznych. Z kabał wywiązała się zabawa zwana pasyjansem". W innej Encyklopedii, w Encyklopedii Staropolskiej Glogera początek kart do gry przypada na wieki średnie. „Karty do gry wynalezione zostały w wiekach średnich na zachodzie Europy". Pogląd ten podziela również L. Gołębiowski, który w tomie „Gry i zabawy" pisze, że „karty wzięły początek we Francji przy końcu wieku XIV dla zabawy zdziecinniałego Karola VI".

Współcześni historycy przypisują pierwsze karty Hindusom. Miały one dotrzeć do Europy za pośrednictwem Saracenów około wieku XIV. Przypuszcza się jak pisał Zb. Wojak w Panoramie, że „karty są jak gdyby dalszą zmodyfikowaną formą domina", i należą do najstarszych gier na świecie oprócz gry w kości. Ale to są hipotezy i nikt za nie głowy nie da. W literaturze średniowiecznej doszukać się można informacji o tym, jak to kupcy włoscy i hiszpańscy w czasie swych długich podróży grali w osobliwe nieznane dotąd gry poznane za pośrednictwem rycerzy krzyżowych.

Wiemy, że w XV wieku grywano w taroka. Gra ta była popularna co najmniej tak, jak obecnie brydż. Talia kart do taroka składała się z 78 listków. Ale to i tak nie jest rekord kart potrzebnych do gry. Talie do wista i manilli mają po 92 karty.

W Polsce pierwsze informacje o kartach pochodzą z przełomu XIV i XV wieku. Ze źródeł historycznych wiemy, że u Paulusa Czipsera w Krakowie w roku 1500 przy produkcji kart pracowało 4 ludzi. W dwadzieścia sześć lat później znaleźć można wzmianki o drugim krakowskim kartowniku Bedeictusie Karthowniku, który zatrudniał u siebie 7 osób. W roku 1665 u pana Smiateckiego pracuje już 12 osób, a w XIX wieku w warszawskiej firmie Gottiego i Baumana – 16. Ale Kraków był i pozostał stolicą polskich kart. Przed wojną w fabryce Piatnika, która to firma była filią słynnego na cały świat Piatnika, pracowały 23 osoby. Liczba ta może jednak mylić. Właściwie fabryka tylko markowała produkcję, wielkie transporty kart sprowadzano z zagranicy i sprzedawano na polskim rynku jako produkt krajowy. Obecnie w Krakowskiej Wytwórni Papieru przy produkcji kart pracuje ponad 200 osób.

Dyrektor Włodzimierz Alber oprowadza mnie po swoim karcianym królestwie. Pokazuje tradycyjne wzory Piatnika, trochę zmodyfikowane przez plastyków. Zmieniliśmy charakter twarzy wszystkim czterem królom. Tradycyjni, przedwojenni monarchowie, mieli twarze, ponure, groźne. Współczesny monarcha polskiej produkcji jest uśmiechnięty i życzliwie patrzy na świat.

Nowością są polskie karty oparte na wzorach ludowych. To są naprawdę demokratyczne karty, gdzie królem kier jest „krakowiaczek ci ja", królem trefl – potomek Janosika ubrany w zbójnicki strój góralski, dama karo dziewczyna z okolic Sieradza, zaś jockerem – turoń – masz kara występująca w obrzędach ludowych.

Rewers – czyli odwrotna strona medalu (karty) opracowany jest na motywach haftu kurpiowskiego. Karty te zaprojektował profesor Bunsch z krakowskiej ASP. Inne karty, które widziałem na razie w projektach, a które najbardziej przypadły mi do gustu opracował prof. Szancenbach, również z krakowskiej ASP. Awers – czyli ta strona karty, na której są figury, przedstawia stroje historyczne z poszczególnych epok. Teraz wypada, proszę szanownych brydżystów uzbroić się w cierpliwość i czekać z licytowaniem szlema w strojach historycznych do czasu wyprodukowania nowych kart.

Budynek przy ulicy Długiej niczym się nie wyróżnia spośród innych kamieniczek tworzących ulicę. Można przypuszczać, że mieszkają tu ludzie. A jednak tu właśnie jest rezydencja karcianych królów. Tu przywozi się papier z Wytwórni w Jeziornie i Gnaszynie. Do produkcji potrzebny jest specjalny papier trójwarstwowy. Środkowa warstwa, to czarna wkładka szmaciana potrzebna po to, by jak to określają fachowcy nie było „prześwitu w grze". To jeden gatunek papieru. Drugi jest uszlachetniony powłoką kredową. Produkcja jest podobna do tej sprzed 400 lat. Dawniej rysowano najpierw na karteczce z drzewa gruszkowego kontury figur i liczb, potem rylcem żłobiono rysunek, smarowano czarną farbą, odbijano na zwilżonym papierze, kolorowano i suszono. Dziś jest podobnie. Tylko, że wszystkie te czynności wykonywane są maszynowo. Tak samo potrzebny jest projekt, tak samo trzeba go odbić (technika offsetową). Potem z rotograwiury zwilżony arkusz wędruje do suszarni, a następnie do kalandra, gdzie karta pod działaniem 8 atmosfer uzyskuje gładkość i duża spoistość. Właśnie fabryka realizuje zamówienie dla Anglii. Tradycyjni Anglicy zamówili w Krakowie karty o nowoczesnym (!) prostym rysunku. Specjalne maszyny tną zadrukowane arkusze, na pasy, pasy zaś kolejna maszyna potnie na prostokąty kart. Praca to bardzo precyzyjna. Margines, czyli niezadrukowane miejsce na karcie, okalające kartę musi mieć określony wymiar, od którego odchylenie nie może przekraczać 0.5 milimetra. Margines określa specjalna jeszcze przedwojenna ustawa o sposobie produkcji i znaczności kart do gry. Związane to było z hazardem. Nawet najmniejsze odchylenie od normy stwarzało możliwości oszustwa. U nas naturalnie karty nie są przedmiotem hazardu. Służą do rozrywki i wychodząc z tego założenia, setna część milimetra, która brakuje do normy nie powinna odgrywać żadnej roli. Niestety, ustawa działa, kontrolerzy są nieubłagani i zdarza się, że całe partie wydrukowanych kart nie trafiają do sklepów przez niewielką, niedostrzegalną dla oka różnicę marginesu. Powiedziałem, że karty do gry nie są u nas przedmiotem hazardu. W zasadzie nie są. Ale zdarzają się wypadki. Krakowska Wytwórnia Kart otrzymała z milicji talie swoich kart z zapytaniem czy karty te były produkowane w Krakowie. Powierzchowne oględziny wskazywały na to, że rzeczywiście jest to produkcja krakowska, co zresztą się potwierdziło. Przy szczegółowych badaniach rewersu, odkryto pomiędzy ornamentem w określonych miejscach maleńkie kropeczki. Król miał ich więcej, dama mniej itd. Pozwalały one zorientowanym graczom rozpoznawać, jakie karty ma ich przeciwnik. W ten sposób w melinie ogrywano ludzi. Gdy poszkodowany stwierdził, że widocznie karty są znaczone, właściciele meliny proponowali by chcący się odegrać kupił w pobliskim kiosku nową, zapieczętowaną talię kart. Poszkodowany kupował nową talię, ale już spreparowaną uprzednio przez pomysłowego sprzedawcę kart, który był w zmowie z właścicielami meliny. Przed wojną, jak twierdzą wtajemniczeni, nawet znane fabryki produkowały na zamówienie znaczone karty. Stąd też ta nieszczesna ustawa obowiązująca do dziś. W małym archiwum, które oglądałem u kierownika produkcji, obejrzeć można karty z całego świata. Stare okrągłe karty angielskie, karty japońskie, chińskie, kubańskie, szwedzkie i najładniejsze karty hiszpańskie. Na rewersach niektórych talii obrazy Goyi, El Greco. Oglądałem karty, których rewersy przedstawiały piękno kraju, względnie tradycyjne zwyczaje jak np. walkę byków w 52 obrazach. Naciekawszą talią, niestety, niepełna, jest talia kart wyprodukowanych dla żołnierzy amerykańskich, walczących podczas drugiej wojny światowej. Cztery asy, to karykatury czterech mężów stanu, wodzów czterech mocarstw wspólnie walczących. As kier, to Stalin, as pik – Montgomery, as karo – De Gaulle i as trefl – Eisenhower. Jockerem jest mały Hitler. Rewers tych kart przedstawia żołnierza amerykańskiego w batle-dressie stojącego obok jeppa. Najbardziej różnorodne i zadziwiające pomysłami są zawsze rewersy kart. Panowie znają zapewne pokazywane potajemnie karty z roznegliżowanymi paniami. Celują w tym Francuzi i ostatnio Węgrzy. Ale oglądałem również w krakowskich zbiorach karty przedstawiające wszystkie rasy psów, koty, słynne miasta, no i naturalnie gwiazdy filmowe. Opowiadano mi o nowych kartach, na których w charakterze koronowanych władców występują kosmonauci. Bowiem na zwykłych kartach do gry znajdują swe graficzne odbicie wielkie karty historii. Polska również wydrukowała szereg kart z nadrukami okolicznościowymi. Oglądałem karty z rewersem – 20-lecia PRL, 600 lat Uniwersytetu Jagiellońskiego, Olimpiady w Tokio, Wyścigu Pokoju, czy Mistrzostw Narciarskich FIS. Wiele zamówień realizowanych jest dla poszczególnych przedsiębiorstw handlowych. Te talie spełniają rolę reklamy. Ma więc swoje karty słynne piwo „Żywieckie" i „Okocim" – beer, Dalmor, Baltona, PLL – Lot i inne przedsiębiorstwa handlujące z zagranicą. Produkuje się karty do gry w skata (głównie dla Śląska), karty klabrowe (dla amatorów tej gry z okolic Poznania), karty dziecinne (Piotruś Dyrygent – nareszcie ładny plastycznie, nie straszy dzieci) oraz karty młodzieżowe, (gra ma specjalne zasady podobne do remi-brydża. Tak samo zbiera się karty po cztery, tylko muszą być one połączone tematycznie. Do karty z Kopernikiem, szukamy karty z widokiem Torunia, z przyrządami astronomicznymi i z dziełami Kopernika). Codziennie tysiące karcianych królów opuszcza krakowską wytwórnię, coraz częściej jadą za granicę, gdzie trafiają do klubów brydżowych, domów prywatnych i do domów gry, coraz więcej osób gra polskimi kartami oprócz pracowników Krakowskiej Wytwórni Kart. Nie spotkasz tu zapalonych brydżystów, pokerzystów (grających na zapałki, jako że w Polsce nie ma hazardu). Nikt tu nie gra w kierki, w oko, garibaldkę, a nawet w tysiąca. Dla nich korona z kierów, szlem w pikach, ful, czy kareta, to dzień powszedni.

RAY BRADBURY

ZŁOTOOCY MARSJANIE

Rakieta stygła leżąc na łące przez którą przewalał się wiatr. Odsunęły się drzwi i z wnętrza wyszedł mężczyzna, a za nim kobieta i troje dzieci. Inni pasażerowie odeszli i mężczyzna pozostał sam w otoczeniu swojej rodziny na rozległej marsjańskiej łące.

Dzieci spojrzały na niego. Miał pochmurną twarz.

— Co się stało? — spytała żona.

— Lepiej wróćmy do rakiety.

— Chcesz wracać na Ziemię?

— Tak! Słuchaj!

Wiatr zawodził. W każdej chwili mógł wydrzeć z niego duszę.

Patrzył na wzgórze Marsa. Wydawało się, że one go ostrzegają, stare, zniszczone. W oddali widniały porzucone miasta, leżące jak kości dziecka pośród bujnych traw.

— No, Harry, już późno. Odbyliśmy długą podróż — powiedziała żona.

Dzieci zadarły swoje złotowłose główki, wpatrzone w niebo. Nic nie było słychać, tylko wiatr pędził z sykiem usiłując pozginać nastroszoną trawę.

— Chodźmy tędy — wziął walizki w swoje zmarznięte ręce.

Poszli w stronę miasta.

Nazywał się Harry Bittering. Jego żona miała na imię Cora, a dzieci: Tim, Laura i David. Zamieszkali w małym domku, który sobie wybudowali. Ale strach w dalszym ciągu ich prześladował. Był zawsze z nimi ten trzeci nieproszony gość, towarzyszył im w rozmowach o każdej porze dnia i nocy.

— Czuję się jak kryształ soli wymyty przez górski strumień — mawiał Harry. — To nie nasze miejsce. My jesteśmy z Ziemi, a to jest Mars. On należy do Marsjan. Na Boga, Cora, kupmy bilety i wracajmy do domu!

Wtedy tylko potrząsnęła głową:

— Pewnego dnia bomba atomowa zniszczy Ziemię, a my będziemy tutaj zupełnie bezpieczni.

— Bezpieczni aż do szaleństwa!

Tik-tak, jest godzina siódma — zaśpiewał zegarek — już pora wstawać.

Wstali.

— I znów nadeszła epoka kolonializmu — powiedział kiedy siedzieli przy stole. — W przyszłym roku osiedli się tutaj milion Ziemian. Powstaną wielkie miasta, wszystko! Chyba Marsjanom nie bardzo będzie się podobał nasz najazd. Ale czy ich spotkamy? Przecież tu nie ma żywej duszy! Zastaliśmy tylko puste miasta.

Strumień wiatru owinął dom. Szyby zadźwięczały w oknach. Bittering popatrzył na dzieci.

— Nie wiadomo — odparł David — bardzo możliwe, że Marsjanie są w pobliżu. Czasami nocą słyszę jak mówią. Ale to tylko wiatr, który tłucze piaskiem o szyby. Boję się, bo czasami wydaje mi się, że coś się porusza w tych miastach, w których kiedyś mieszkali Marsjanie. Ciekaw jestem, czy oni znają nasze myśli i czy chcą się na nas zemścić za to, że przybyliśmy tutaj.

— Głupstwa gadasz — Bittering popatrzył przez okno. — Jesteśmy uczciwi ludzie i nie mamy złych zamiarów. Zresztą wszystkie wymarłe miasta są zamieszkałe przez duchy. Mam na myśli pamięć, którą po sobie zostawili. — Przez chwilę patrzył na wzgórza. — Patrzycie na schody i jesteście ciekawi, jak wyglądali Marsjanie, którzy po nich wchodzili. Staracie się wyobrazić sobie Marsjan malujących obrazy i jesteście ciekawi jakie są te obrazy. To zupełnie naturalne. Wyobraźnia. — Umilkł. — Jeszcze nie oglądaliście z bliska tych ruin?

— Nie, tatusiu — David patrzył na swoje buty.

— Nie chodźcie tam.

— To i tak nic nie pomoże — powiedział David.

Pewnego dnia Laura przybiegła do domu z płaczem. Rodzice byli wtedy na werandzie

— Mamo, tatusiu, wojna! Na Ziemi! — mówiła łkając. — Przez radio nadano komunikat! Wszystkie rakiety są zniszczone. Już nikt nie przyleci do nas, nigdy!

— Och, Harry! — matka patrzyła na męża i na córkę.

— Laura, czy jesteś tego pewna? — spytał ojciec spokojnie.

— Jesteśmy skazani! Zostaniemy tu na zawsze — płakała.

Zapadał zmierzch i wiatr wył za oknami.

Jesteśmy opuszczeni, samotni — pomyślał Bittering. Jest nas tylko tysiąc. Bez możliwości powrotu. Bez żadnych możliwości.

Zrobiło mu się gorąco. Zaczął się pocić. Miał ochotę uderzyć Laurę i krzyknąć: Nie, ty kłamiesz! Rakiety wrócą!

Nie zrobił tego. Położył rękę na jej głowie i powiedział:

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Pewnego dnia znów przylecą rakiety.

— Może dopiero za pięć lat. Przecież tyle czasu wymaga budowa jednej rakiety. Tatusiu, co my zrobimy?

— Będziemy siali zboże, wychowywali dzieci i czekali aż się wojna skończy, a wtedy rakiety znów do nas przylecą...

— Chłopcy stanęli na ganku.

— Dzieci — powiedział patrząc na nich — muszę wam coś powiedzieć.

— Już wiemy.

Bittering wyszedł do ogrodu. Chciał być sam ze swoim strachem. Był spokojny, kiedy widział rakiety na horyzoncie i nawet podobało mu się tu na Marsie. Wiedział, że w każdej chwili może kupić bilet i wrócić na Ziemię. A teraz już nie ma rakiet i Ziemianie są skazani na pobyt tutaj wśród tajemnic, które kryje w sobie Mars, skazani na brunatny pył i odurzające powietrze, i na upalne lato, które spali ich skórę na brąz... Zastanawiał się, co ich czeka. Tak, nareszcie Mars ma to czego pragnął. Są odcięci, a on ich teraz pochłonie.

Bittering ukląkł przy grządce, na której rosły kwiaty. W drżących rękach trzymał łopatę. Praca, praca da mi zapomnienie, myślał.

Spojrzał na góry. Pomyślał, że przecież te szczyty nosiły kiedyś nazwy nadane im przez dawnych dumnych Marsjan. A Ziemianie zastali wszystko nie nazwane. Kiedyś Marsjanie zbudowali miasta, nazwali te miasta; wspinali się na szczyty, zostawiali tam swoje imiona; przepływali morza i nazywali je. Góry zniszczały, morza wyschły, a miasta rozpadły się w gruzy. Ziemianie nadali nowe nazwy starym dolinom i wzgórzom.

Bittering czuł się bardzo samotny w swoim ogrodzie: tu w słońcu, schylony, sadził ziemskie kwiaty w dzikiej glebie.

Trzeba przestać myśleć o Ziemi. Tam jest teraz wojna, która zniszczyła rakiety.

Rys. Henri Poulain

Obejrzał się dokoła. Nikogo nie ma. Zdjął marynarkę i powiesił ją na brzoskwiniowym drzewie, które przywiózł ze sobą z Massachusetts.

Znowu powrócił do poprzednich rozmyślań. To Ziemianie zmienili wszystkie nazwy. Teraz jest tu dolina Lincolna, morze Roosevelta, wzgórza Forda, rzeki Rockefellera. Na Marsie. To nieuczciwe. Amerykańscy osadnicy używali nazw, które pozostawili po sobie Indianie: Wisconsin, Idaho, Minnesota, Ohio, Utah, Milwaukee, Waukegan, Osseo. Stare nazwy, stare znaczenia.

Patrząc na wzgórza pomyślał ze złością: Czy jesteście tam, wy zmarli Marsjanie? Tak, jesteśmy tu, samotni, odcięci od świata! Możecie teraz przyjść i zniszczyć nas! Jesteśmy bezbronni!

Powiał wiatr strzepując z brzoskwiń płatki kwiatów.

Harry wyciągnął swoją opaloną rękę, wziął jeden płatek i aż krzyknął ze zdumienia. Oglądał go ze wszystkich stron.

— Cora!

Ukazała się w oknie. Podbiegł do niej.

— Cora, kwiaty!

Oglądała je.

— Widzisz? Są zupełnie inne, zmieniły się. To już nie są kwiaty brzoskwini!

— Nie widzę żadnych zmian.

— Ależ popatrz! To nie są te same kwiaty. Spójrz na te płatki, mają inny kolor, inny zapach!

Przybiegły dzieci i zobaczyły, że ojciec wykopuje z grządek rzodkiewkę, cebulę i marchew.

— Cora, zobacz!!

Trzymając w rękach oglądali je dokładnie.

— Czy to jest podobne do marchwi?

— Tak... nie. Nie wiem — powiedziała Cora.

— Popatrz uważnie, to jest zupełnie coś innego.

— Może....

— To już nie jest ta sama cebula, to już nie jest marchew. Inny smak, inny zapach.

Był przerażony. Zaczął oglądać wszystkie drzewa w ogrodzie. Biegał jak oszalały.

— Cora, musimy stąd uciekać. Popatrz, róże są zielone!

Stojąc patrzyli na zielone róże.

Dwa dni później Tim przybiegł do domu z krzykiem:

— Chodźcie zobaczyć krowę. Doiłem ją i widziałem to na własne oczy. Chodźcie!

Krowa zachowywała się zupełnie spokojnie, ale na łbie wyrastał jej trzeci róg.

I trawnik przed domem też powoli zmieniał kolor. Robił się purpurowy.

— Musimy stąd uciekać — powiedział Bittering. — Zjemy coś i pozamieniamy się w potwory. Nie mogę na to pozwolić. Musimy spalić te warzywa.

— Przecież nie są zatrute.

— Są. Nie wolno ich dotykać.

— Nawet dom. To wiatr z nim coś zrobił. Powietrze go przepaliło i nocna mgła. Ściany zmieniły kształt. To już nie jest dom człowieka z Ziemi.

— Wydaje ci się!

Włożył marynarkę i poprawił krawat.

— Idę do miasta. Niedługo wrócę.

— Poczekaj, Harry! — krzyknęła żona.

Odszedł.

W mieście, na schodach w cieniu, przed sklepem spożywczym siedzieli gwarząc mężczyźni.

Bittering miał ochotę wystrzelić w powietrze z pistoletu.

Durnie, pomyślał. Siedzą tutaj jakby nigdy nic. Przecież jesteśmy uwięzieni na tej planecie. A oni niczego się nie boją.

— Cześć, Harry — powitali go.

— Słuchajcie, chyba wiecie już o wszystkim.

— Oczywiście, Harry, oczywiście — uśmiechnęli się kiwając głowami.

— Co macie zamiar robić?

— A co możemy zrobić?

— Zbudować rakietę!

— Rakietę? Po to, żeby wracać do tego piekła? Och, Harry!

— Przecież musicie wracać. Widzieliście kwiaty, cebulę i trawę?

— Tak, Harry, widzieliśmy — powiedział jeden z mężczyzn.

— Czy to was nie przeraża?

— Nie bardzo.

— Idioci!

— Przesadzasz, Harry.

Chciało mu się płakać.

— Musicie mi pomóc. Nie możemy tu zostać, bo się zmienimy jak trawa, kwiaty, zwierzęta... Powietrze. Czy nie czujecie jego zapachu? Coś jest w tym powietrzu. Jakieś wirusy... Posłuchajcie mnie!

Patrzyli na niego w milczeniu.

— Sam — zwrócił się do jednego z mężczyzn.

— Co chcesz, Harry?

— Czy pomożesz mi zbudować rakietę?

— Wiesz, materiał mogę ci udostępnić. Możesz to zrobić w moim warsztacie, zapłacisz tylko pięćset dolarów. Ale rakieta będzie gotowa dopiero za trzydzieści lat.

Mężczyźni zaczęli się śmiać.

— Przestańcie!

Sam spojrzał na niego z pogodnym uśmiechem.

— Sam — powiedział Bittering — twoje oczy...

— Co się stało?

— Były szare.

— Nie pamiętam.

— Były szare, prawda?

— Dlaczego pytasz, Harry?

— Bo teraz są żółte.

— Naprawdę? — spytał Sam obojętnym głosem.

— Jesteś teraz wyższy i szczuplejszy...

— Możliwe.

— Sam, nie powinieneś mieć żółtych oczu.

— A jakie ty masz, Harry?

— Ja? Niebieskie.

— No to popatrz — Sam podał mu lusterko.

Bittering zastanawiał się chwilę, po czym przybliżył lusterko do twarzy. W jego oczach zaczęły się pojawiać małe złote ziarna.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ROMANCE DE LA INFANTINA

książę wraca z polowania książę gonił lotne łanie
psy zdyszane biegną przy nim sokół krąży ponad psami
książę oparł się o drzewo o dąb w szronach dąb zbielały
psy sierść trą o suchą korę psy skowyczą psy szlochają
sokół trąca długim skrzydłem drobne liście liście białe
a gdy spojrzał w górę książę co zobaczył teraz usłysz
na gałęzi gniazdo małe gniazdo lotne wiatrom dane
w nim dziewczątko przebudzone trzepoczące powiekami
otulona w liście drobne zaplątana śród gałązek
srebrny grzebień miała w dłoni i czesała włosy lśniące
i spływały włosy z drzewa i z listkami się mieszały
„kogo ty się lękasz książę przed kim książę pragniesz uciec
twoich królów kastylijskich twoich królów jestem córką
siedem lat dziś mija książę odkąd w lasach sama żyję
a odziewam się w listowie a włosami się okrywam
siedem lat mi żyć kazano niby zwierzę pośród zwierząt
zima śniegiem mnie otula wiosna miód mi zsyła z nieba
i u źródeł sennych piję i z pszczołami cicho śpiewam
i w gałęziach dębu sypiam i co rano czekam ciebie
książę dziś lat siedem mija książę zabierz mnie ze sobą
książę będę psy twe karmić książę będę słać twe łoże
gdy zapragniesz będę żoną ukochanką gdy zażądasz"
i rzekł książę do dzieweczki usłysz co rzekł wonczas książę
„muszę uśpić me sokoły muszę psy nakarmić głodne
muszę króla się poradzić muszę się zapytać Boga
może jutro tu powrócę może jutro cię uwolnię
czekaj na mnie śród listowia o świtaniu czekaj na mnie"
i odrzekła mu dzieweczka usłysz co odrzekła wonczas
„gdy mi każesz czekać książę śród listowia śród gałęzi
gdy porzucasz ukochankę ukochanku bądź przeklęty"
książę psy o świcie karmił a dzieweczka w liściach śpiewa

ROMANCE DE LA AMIGA DE BERNAL FRANCÉS

„kto do drzwi mych stuka w nocy kto śród nocy krzyczy otwórz
gdy samotna w chłodnym łożu gdy w koronkach leżę lotnych"
„otwórz piękna Catalino Francuz Bernal stuka do drzwi
więzień twych ogrodów za dnia w nocy twego łoża więzień
w twoich oczach twoich włosach uwięziony słodko więzień"
holenderskie prześcieradła zrzuca piękna Catalina
złoty świecznik wzięła w palce ciężkie odrzwia uchyliła
ktoś na klamce dłoń położył ktoś oddechem świecę zgasił
ktoś wytrącił świecznik z dłoni ktoś w ciemności stał przed panią
„czyje dłonie, czyje oczy czyje szepty śmiechy czyje
czyje wargi zabłąkane w mroku moich korytarzy
ty bądź przy mnie Nasza Pani Święci Pańscy bądźcie przy mnie
kto oddechem świecę zgasił może zgasić i me życie"
„przecz się lękasz Catalino to są moje dłonie pani

— Spójrz co zrobiłeś — powiedział Sam po chwili. — Nie rozumiem, dlaczego stłukłeś moje lusterko...

Harry Bittering skierował się w stronę warsztatu. Mężczyźni stali w otwartych drzwiach rozmawiając i śmiejąc się. Ale nie podnosili głosu. Czasami pomogli mu, podając jakieś narzędzie. I tak stali patrząc na niego swoimi żółknącymi oczyma.

— Już kolacja, Harry — powiedzieli.

Zjawiła się Cora z koszykiem w ręku.

— Nie chcę. Nie będę jadł tego, co wyrosło tutaj. W lodówce chyba jest jeszcze trochę żywności, którą przywieźliśmy z Ziemi.

Żona patrzyła na niego.

— Czy potrafisz zbudować rakietę?

— Kiedy miałem dwadzieścia lat, pracowałem przy budowie rakiet i wiem jak to się robi. Sam nie dam rady, ale myślę, że inni mi pomogą — powiedział nie patrząc na nią.

— Harry, Harry — westchnęła bezradnie.

— Musimy stąd uciec, Cora. Musimy!

Leżąc w łóżku Bittering czuł jak jego kości przesuwają się, zmieniają się, topią się jak złoto. Spojrzał na spoczywającą obok żonę. Była ciemna. Jej skóra przybrała odcień złotawej czerni. Dzieci w swoich łóżkach również błyszczały jak metal. I ten wiatr za ścianą, wyjący rozpaczliwie, przemieniający stare brzoskwiniowe drzewa, fioletowopurpurową trawę, strząsający zielone płatki róż.

Nie, tego strachu nie można pokonać. Chwyta za gardło, obejmuje serce. Sączy się przez ciało i łomocze w skroniach.

Zielona gwiazda pojawiła się na wschodzie.

Nagle w ustach Bitteringa zabrzmiało jakieś dziwne słowo.

— Iorrt, iorrt — powtórzył.

To słowo było marsjańskie. A przecież nie znał tego języka.

Była już północ, ale on wstał by zadzwonić do Simpsona, archeologa.

— Simpson, co znaczy słowo „iorrt"?

— Dlaczego pytasz? W języku Marsjan oznacza ono Ziemię. Ale dlaczego o to pytasz?

— Tak sobie...

Słuchawka wypadła mu z ręki.

— Halo, halo, halo, halo — wołał Simpson, a on siedział i patrzył na zieloną gwiazdę.

Dni wypełnione były zgrzytem metalu. Powoli zaczął wyłaniać się kształt rakiety. Pomagało mu trzech mężczyzn. Męczył się szybko i musiał coraz częściej odpoczywać.

— No, przerwa — powiedział jeden.

— Zjesz coś, Harry? — spytał drugi.

— Zjem potem — odpowiedział ze złością.

— Ty jesz tylko żywność z lodówki?

— Tak!

— Jesteś coraz szczuplejszy, Harry.

— Nieprawda!

— I wyższy.

— Kłamiesz!

Kilka dni później żona podeszła do niego.

— Harry, wszystkie zapasy, które mieliśmy w lodówce już się wyczerpały. Zrobiłam kanapki z żywności pochodzącej z Marsa.

Ciężko osunął się na stołek.

— Musisz jeść, jesteś osłabiony.

— Tak — powiedział cicho.

Wziął kanapkę, popatrzył na nią i powoli zaczął jeść.

— Zrób sobie dłuższą przerwę. Jest bardzo gorąco. Dzieci chcą się wykąpać. Może byś poszedł z nimi nad kanał? Chodź.

— Nie mogę tracić czasu.

— Tylko na godzinkę. Kąpiel dobrze ci zrobi.

Wstał.

— No dobrze. Zostaw mnie teraz. Potem przyjdę.

Dzień był upalny i dlatego Harry zdecydował się pójść nad kanał. Szedł z żoną, a przed nimi biegły dzieci w kostiumach kąpielowych. Zatrzymały się nad wodą i zjadły przyniesione kanapki. Patrzył na ich ciemnobrązową skórę. Zauważył, że zarówno żona jak i dzieci mają żółte oczy, a przecież one przedtem były zupełnie inne. Zadrżał, ale po chwili uspokoił się. Upał zupełnie go obezwładnił i wypędził resztki strachu.

— Cora, od kiedy twoje oczy są żółte?

— Chyba zawsze były takie.

— Były brązowe. Czy nie wyjaśniały ci ostatnio?

— Nie. A dlaczego pytasz?

— To nic ważnego.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Oczy naszych dzieci też są żółte.

— Czasami oczy dzieci zmieniają kolor.

— Możliwe, że my też jesteśmy dziećmi. Przynajmniej dla Marsa. Jak ci się to podoba? — roześmiał się. — Chyba się jednak wykąpię.

Wskoczył do wody i zanurzał się coraz głębiej aż na samo dno. Wyglądał jak złoty posąg spoczywający w zielonej ciszy. Dokoła była woda, głęboka, spokojna... Pozwolił się nieść prądowi.

Jeżeli zostanę tu dłużej, pomyślał, woda połknie moje ciało i pozostanie tylko szkielet, który zaczną porastać różnokolorowe stwory. Powoli, w głębokiej ciszy będzie trwała ta przemiana. A przecież taki sam proces zachodzi tam na górze.

Wreszcie wynurzył się.

Tim siedzący na brzegu kanału przyglądał mu się uważnie.

— Utha — powiedział.

— Co? — spytał ojciec.

Chłopiec uśmiechnął się.

— Utha w języku Marsjan znaczy „ojciec".

— Skąd wiesz?

— Nie wiem... skąd. Utha!

— Co chcesz?

— Ja... Ja chciałbym zmienić moje imię.

— Zmienić imię?

— Tak.

— A dlaczego ci się nie podoba twoje imię, Tim? — spytała matka.

Tim kręcił się niespokojnie.

— Wczoraj wołałaś na mnie Tim, Tim, Tim, ale ja nie słyszałem. Pomyślałem sobie, że to wcale nie o mnie chodzi. Ja mam już nowe imię, którego chciałbym używać.

Bittering wyskoczył na brzeg. Jego ciało było zimne, a serce biło zwolnionym rytmem.

— A jakie jest to imię?

— Linnl. Podoba ci się?

Bittering ukrył głowę w dłoniach. Pomyślał o rakiecie, którą budował zupełnie sam. Poczuł się strasznie samotny nawet tu w towarzystwie żony i dzieci.

— Oczywiście — usłyszał głos żony.

— Możesz używać tego imienia — usłyszał swój głos.

— Jestem Linnl — wykrzyknął chłopiec radośnie.

Biegł po łące tańcząc i krzycząc.

Bittering popatrzył na żonę.

— Dlaczego my na to pozwalamy?

— Nie wiem — powiedziała. — Wydawało mi się, że to niezły pomysł.

Skierowali się w stronę wzgórz. Szli starą drogą wyłożoną różnokolorowymi kamykami. Obok znajdowały się fontanny, które w dalszym ciągu wyrzucały z siebie wodę. Podeszli do opuszczonej willi skąd rozciągał się piękny widok na całą dolinę. Znajdowali się na szczycie wzgórza. Hall z niebieskich marmurów, szerokie, wygodne schody, basen kąpielowy. Wszystko to pozwalało uciec od upalnego lata. Widocznie Marsjanie nie lubili dużych miast.

— Jak tu przyjemnie — powiedziała pani Bittering. — Gdybyś mógł przenieść się tutaj na lato.

— Nie, wracamy do miasta. Musimy zbudować rakietę.

A kiedy znowu znalazł się w warsztacie, nie mógł przestać myśleć o błękitnej marmurowej willi. Mijały godziny. W dalszym ciągu trwał na swoim stanowisku przy rakiecie, ale już nie robił tego z takim zapałem jak przedtem. Przestraszył się tego. Tak, upał, powietrze i te warunki tutaj...

Usłyszał mężczyzn rozmawiających przy wejściu do warsztatu.

— Wszyscy odchodzą, słyszałeś?

— Tak — zbliżył się do nich. — A dokąd?

— Wychodzimy z miasta — powiedział mężczyzna.

— No, Harry, ja idę. Sam też idzie. Prawda, Sam?

— Niestety, Harry. A ty?

— Ja muszę tu zostać.

— Nie wygłupiaj się! Skończysz rakietę jesienią, kiedy będzie chłodniej.

— Nie mogę — westchnął.

— Jesienią będzie lepiej — mówiono mu. W tym upale głosy wydawały mu się jakimś dalekim echem.

— Muszę pracować — powiedział.

— Jesienią — przekonywano go.

Tak, jesienią będzie lepiej, pomyślał. Wtedy będę miał więcej czasu.

Nie! — krzyknęło w nim coś, co zostało zepchnięte tam głęboko na samo dno. Nie! Nie!

— Jesienią — powtórzył.

— Chodź, Harry — wołali go.

— Tak — powiedział, czując jak jego ciało topi się w gorącym płynnym powietrzu. — Tak, jesienią. Wtedy znowu rozpocznę pracę.

— Mam willę w pobliżu kanału Tirra — powiedział ktoś.

— Myślisz o kanale Roosevelta, prawda?

— Tirra. Tak nazywali ten kanał Marsjanie.

— Przecież na mapie...

— Daj spokój. Teraz nazywa się Tirra. Znalazłem bardzo ładne miejsce w górach Pillan...

— W górach Rockefellera — sprzeciwił się Bittering.

— Nie, Pillan — powiedział z naciskiem Sam.

— Tak, Pillan — zgodził się Bittering zmęczony upałem.

Następnego dnia naładowane wózki stały przygotowane do drogi.

Laura, Tim i David nieśli pakunki. Ale teraz nazywali się inaczej: Ttil, Linnl i Werr.

Meble pozostały w białym domku.

— Ładnie tu u nas, zupełnie jak w Bostonie — powiedziała matka. — Ale w willi jest ładniej. Wrócimy tu jeszcze jesienią.

Bittering milczał.

— W willi ustawimy ciężkie, solidne meble — powiedział po chwili.

— Czy weźmiesz encyklopedię?

— Przyjdę po nią w przyszłym tygodniu.

— A co zrobimy z sukienkami? Bierzesz je? — spytała córkę.

— Nie będę ich nosiła.

Zakręcili gaz, wodę i zamknęli drzwi. Ojciec podszedł do wózka.

— W porównaniu z tym co przywieźliśmy z Ziemi, to wszystko wydaje się garstką.

Patrząc na biały domek miał ochotę dotknąć go, pożegnać się z nim. Czuł się jak człowiek, który wyjeżdża daleko i nie wie kiedy wróci.

Spotkali Sama z rodziną i z bagażami.

— Ej, Bittering, jesteśmy!

Wózek kołysał się na starej drodze, która biegła za miasto. Około sześćdziesięciu podróżnych szło w tę samą stronę. Miasto utonęło w ciszy. Błękitne wody kanału błyszczały w słońcu i tylko wiatr poruszał leniwie liśćmi dziwnych drzew.

— Żegnam cię, miasto! — powiedział Bittering i pomachał ręką.

Lato wysuszyło kanały, unosiło się jak płomień nad łąkami. Domy pozostawione przez Ziemian łuszczyły się, niszczały w tym upale.

Wreszcie nadeszła jesień. Bittering był teraz ciemny i złotooki.

— Czas wracać — powiedziała Cora.

— Po co?

— A twoje książki? Ubrania też tam zostały. I jeszcze illes oraz wspaniałe ior uele rre — dodała.

— Miasto jest teraz puste. Nikt nie wraca.

Słychać było jak syn wygrywa na starym, znalezionym tu flecie jakąś piosenkę. Dźwięki unosiły się w salach marmurowej willi.

Bittering patrzył na osie zbudowane przez Ziemian, które znajdowało się daleko w dolinie.

— Strasznie śmieszne są te domy Ziemian.

— Nie mają innych — powiedziała Cora. — Tacy ponurzy ludzie. Całe szczęście, że już stąd odjechali.

Popatrzyli na siebie i zaczęli się śmiać.

— A dlaczego oni odjechali? — zapytał. Spojrzał na żonę. Była ciemnobrązowa i szczupła jak córka. Patrząc na niego, stwierdziła, że między nim a ich starszym synem różnica lat prawie się zatarła.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— W przyszłym roku wrócimy do miasta, albo za dwa lata. Teraz jest za gorąco. Może się wykąpiemy?

Wyszli na drogę, przy której płynął strumień czystej wody.

Pięć lat później na niebie pojawiła się rakieta i po chwili wylądowała w dolinie. Wybiegli z niej ludzie, którzy głośno krzyczeli. Biegli w stronę miasta, ale dokoła panowała zupełna cisza. Miasto było wyludnione. Nie przerwano poszukiwań. Kwatera dowódcy znajdowała się teraz w opuszczonym barze.

— Kapitanie — meldował porucznik — w mieście nikogo nie ma. Byliśmy w górach i spotkaliśmy tam jakichś ludzi. Są ciemni i mają żółte oczy. Marsjanie. Bardzo przyjaźnie usposobieni. Rozmawialiśmy z nimi. Szybko uczą się angielskiego. Sądzę, że nie zrobią nam nic złego.

— Ciemni — powtórzył kapitan. — Ilu ich jest?

— Około tysiąca. Mieszkają w tych ruinach na górze. Wysocy, zdrowi. Mają piękne kobiety.

— Czy nie mówili ci co się stało z osadnikami z Ziemi?

— Pytałem. Nie mają pojęcia, co się z nimi stało.

— A to dziwne. Może oni ich wymordowali?

— Nie sądzę. Są tacy spokojni. Przypuszczam, że Ziemianie wymarli na jakąś chorobę.

— Może. Znów zagadka, której nie potrafimy rozwiązać. Jedna z tajemnic, o których tyle pisano...

Przez zakurzone okna kapitan patrzył na błękitne góry, na wody leniwie płynące przez kanał, słuchał ciepłego wiatru.

Odwrócił się i podszedł do stołu.

— Mamy dużo pracy, poruczniku. Nowi osadnicy, kopalnie, bogactwa mineralne. Środki bakteriobójcze. Musimy wszystko zaczynać od początku. Trzeba sporządzić mapę. Nadać nowe nazwy górom i rzekom. To będą góry Lincolna. Kanał nazwiemy imieniem Washingtona, a wzgórzom nadamy twoje imię, poruczniku. Miasto możesz nazwać moim imieniem. A ta dolina będzie doliną Einsteina. Jak ci się to podoba? — spytał, wycierając jabłko.

Porucznik patrzył na błękitne wzgórza owinięte miękką mgłą.

Przełożył: ROMAN GORZELSKI

---

moje oczy moje wargi w twoim mroku zabłąkane
na mych wargach krew sczerniała przeto świecy nie zapalaj
w czyjeś serce wbiłem sztylet po rękojeść na ulicy
król strażników posłał za mną bić przestało serce czyjeś
niech nas słodka ciemność skrywa niech nikt nie wie gdzie przebywam"
przecz kochanka prowadziłaś do sypialni Catalino
przecz go w krześle posadziłaś białą kością ozdabianym
i różami słałaś łoże zrywanymi o świtaniu
i sypałaś na wezgłowie kwiat bezsenny kwiat lewkonii
przecz kochanka ciało myłaś w wodach dzikich i spienionych
„przecz nie mówisz nic kochanku mych ogrodów nocnych więźniu
czy się lękasz mych służących czy się lękasz mego króla
król nie przyśle tu pachołków i nie zbudzą się służący"
„ani króla się nie lękam choćby za mną słał pachołków
ani twych służących wiernych choć przebudzą się służący"
„przecz mi wzdychasz przecz drżysz cały słodszy innych tyś Bernalu
czy nie ufasz memu sercu czy wspominasz swe kochanki"
„nie wspominam mych kochanek tylko ciebie pani miałem
tylko ty mnie uwięziłaś w oczach sennych w dłoniach białych"
„przecz nie mówisz nic kochanku po komnacie przecz się błąkasz
gdy nie lękasz się niczego czy się lękasz mego męża
mego męża się nie lękaj mąż daleko bardzo od nas
mąż poluje mąż się bawi mąż w podróży nie mam męża"
kto daleko jest ten będzie blisko gdy go płomień trawi
ył daleko mąż twój pani obok ciebie teraz stoi
te są podarki pani które wiozę ci z podróży
jedwab może zbyt czerwony będziesz z niego suknię miała
płaszczyk trochę może ciasny ale płaszczyk z desek białych
piękną kryzę wokół krtani szpadą ci uczynię pani
listy wyślę do Francuza by po tobie wdział żałobę"

ROMANCE DE LA GUIRNALDA

„kto ci córko dał ten wianek kto ci wianek przyniósł w darze
powiedz córko skąd te róże kto ci róże splatał rano"
„chłopiec wianek dał mi w darze gdy przechodził pod oknami
chłopiec spostrzegł mnie o świcie gdy się z okna wychylałam
i za rękę wziął mnie matko i w swe odrzwia mnie wprowadził
w słodkim mroku korytarzy słodkie były nam zabawy
i na rękach niósł mnie w łoże na pościel z róż położył
słodkim kwiatem mnie nazywał w blasku dnia i w blasku nocy
i coś ze mną czynił matko ale nie wiem co uczynił
bym tęskniła za nim matko bym go matko pokochała
na koronkach na bielonych kwiaty kwitły mi czerwone"
„córko cnotę gdy straciłaś będą dziewką cię nazywać
córko męża gdybyś miała damą by cię nazywali"
„nie krzycz matko nie krzycz miła nie krzycz matko ma kochana
lepiej chłopca mieć dobrego niźli za mąż być wydaną
będę miała ukochanka matko da mi ukochanek
i pończochy i spódnicę i koronki lotne białe
i na łożu na różanym będzie kochał mnie do rana
która męża weźmie złego matko nic nie będzie miała"

JANUSZ ROSZKO

NIKIFOR maluje DOM

Stary człowiek pochylony nad powierzchnią nowoczesnego biurka ciężko oddycha. Ołówek w zwykłej ręce, bardzo zwykłej ręce, wędruje po bristolu. Ruchy są pełne perfekcji i maestrii. Odwraca się — i twarz jego powoli uśmiecha się, jakby wracał z innej krainy. Podaje rękę — trzy palce, z dwóch nie wypuszcza ołówka. Na kartonie jest już fundament i schodki.

— Nikifor, jaki ma być Twój dom?

Ciężki oddech zamienia się w potok pośpiesznej mowy. Taki ma być, jak mieszkał 36 roków temu i płacił co miesiąc setkę i myślał, że dom kupuje na raty, ale źli ludzie kazali mu się wynosić. Ręka pod niedokończonym obrazkiem kreśli wyliczenie: ile lat mieszkał, ile zapłacił, czy za te pieniądze miałby już własny dom. Koło domu rośnie już cerkiew na pagórku, rozkrólewia się cebulami kopuł. Cerkiew na Krynicy Wsi. Jego cerkiew, centralny punkt Krainy Nikifora, jeśli taka istnieje — cerkiew, od której rozchodzą się wszystkie jego drogi.

Malarz przynosi Nikiforowi kolację z baru, jak co dzień. Przynosi mu do pracowni śniadanie i obiad. Mała, ruchliwa twarz Nikifora poważnieje. Za chwilę już kaszle, okropnie kaszle. Odsuwa talerz.

— On myśli, że to jedzenie jest niedobre, że od tego kaszel. Tak mu się to wiąże. Już więcej tego nie będzie jadł — informuje Malarz*).

Atak kaszlu przechodzi, stary człowiek wstaje i zaczyna chodzić po pracowni. Niewielki, szczupły — nagle rozmowny i pełen uśmiechu, przyjaznych gestów. Trudno go zrozumieć komuś, kto słyszy go pierwszy czy drugi raz.

Szuka obrazka w szufladzie, wyciąga na stół.

— Jak byli w Brunarach, U popa. A to ten dom. Z Florynki.

W dość bełkotliwym potoku słów rozumiem o co chodzi. Byliśmy w niedzielę w Brunarach, byliśmy w Grybowie i na Florynce — przejechaliśmy z Nikiforem szmat jego krainy. Na obrazku jest domek ze śmiesznym dachem, dziwacznej konstrukcji. Jakby zaprojektował go sam Nikifor. Ale domek ma lat sporo, nikt wówczas nie snobował się jeszcze na Nikifora. A domy na rynku w Grybowie, z chodnikami i strzyżonymi drzewkami są takie jak na każdym miejskim obrazku Nikifora. Kolorowo malowane elewacje, podbrązowiałe jesienią liście okrągłych koron.

— Do Brunar nie doszła 29 roków temu, zaspy były.

Mówi o sobie często Nikifor jako o osobie płci żeńskiej; wydarzenia określa zwykle precyzyjnie w chronologii, często liczy sobie na palcach aby podać dokładnie, ile roków wstecz rzecz się miała.

Ta kraina jest realna i nierealna. Koło poczty Chrystus jedzie żółtą dorożką i błogosławi tłumowi pijących „Zubera". Biskup w kapliczce ustawionej na grzbiecie wielkiej ryby płynie przez daleki ocean, nad brzegiem którego nie ma domów, są tylko jedna koło drugiej — same piramidy. Wielkie, przepaściste pasaże, mieszczące kamienice po kilka pięter, przypominające moskiewski „Uniwermag", z cerkwiami na dachu. Dworce z plątaniną torów i świateł. Pensjonaty z galeryjkami misternie wycinanymi z drzewa w stylu pseudoszwajcarskim, zgrzyzione przez korniki „Witoldówki", „Białe Róże" i inne — jak nowe. Orkiestra gra walce wiedeńskie na galeryjce w pijalni, pan dyrygent się kłania kordialnie. Kiedy wyjdzie zza zakrętu hofrat z białymi bokobrodami? „Krynica willa powiat wieś wsi rosyta selo". To podpis pod każdym niemal obrazkiem.

— Nikifor kiedy malował biskupa na rybie?

— 16 roków. Ale to źle. Ryba się ruszy, biskup wypadnie z kaplicy. Kapliczkę pasami przymocować.

— Co znaczy Rosyta?

Nikifor mówi długo i zawile. Zdaje się spodobało mu się słowo „Rosyta", może sam je sobie wymyślił. Zresztą Nikifor nie umie pisać. Zapamiętuje tylko kształt graficzny wyrazów, porządek liter.

Rosną ściany Nikiforowego domu. Proste, z drewnianych bali. Na przodzie zarysowuje się weranda. Zupełnie jakby to nie miał być dom sławnego Nikifora, poety małych akwarel i twórcy dziwnego świata, pełnego kopułek, dziwacznych domów i zaskakujących pejzaży. Rośnie jakiś bardzo zwykły, realistyczny dom. Ale czekamy za jego plecami, co z tego wyniknie. Nikifor znowu kaszle. Ogląda się do tyłu za siebie, czy przypadkiem nie palimy papierosów. Kaszle dalej. Papierosów bardzo nie lubi, wszystkim zwraca uwagę, aby nie palili. Gdy Malarz grzecznościowo robi szarfę dla jakiegoś państwowego czy uzdrowiskowego nieboszczyka z Krynicy, Nikifor zapytuje: „Kto umarł" — po czym usłyszawszy odpowiedź, manifestuje przez kolejne pięć minut absolutne desintéresement. Po czym rzuca jakby od niechcenia następne pytanie: „A palił papierosy?" Gdy Malarz odpowie „Tak" — Nikifor nie powstrzyma się nigdy od triumfalnego okrzyku: „A dobrze mu tak".

A teraz — już drugi raz dzisiejszego wieczora — dostaje ataku kaszlu. To zawsze przychodzi pod wieczór, gdy jest już zmęczony. Ma wyobraźnię, jakiej mógłby mu pozazdrościć Marc Chagall wespół z Salvadorem Dali — a jeśli idzie o pracę ma poglądy austriackiego urzędnika. O dziewiątej rano — gdy jest pogoda — drepce deptakiem, niosąc pod pachą swoją nieodłączną ramkę z okolicznościowym listem proszalnym, gdzie dobrzy ludzie napisali do dobrych ludzi „Ja Nikifor, sierota, nie mam gdzie mieszkać ani nie mam co jeść..." To wszystko jest już dawno absolutną nieprawdą — ale Nikifor w ramce pod szkłem nosi te swoje listy proszalne, uznając je za jakiś talizman. Na każdym liście w rogu jest wymalowany kredkami miniaturowy obrazek i obok przez samego Nikifora wymalowana czarną kredką cena: „500 zł".

Wszystko w tym jest już nieprawdą. Bo napisane jest, że zwany Matejką, że bez opieki; stare dzieje. Dziesięć lat temu pamiętam go takim samym, gdy siedział na murku koło Nowych Łazienek i malował swoje akwarele, na pudełkach od papierosów, co chwilę zwilżając pędzel śliną. Oszczędzał także niesłychanie guziczków akwarel — wychodziły z tego tony delikatne, przejrzyste, pełne poezji. Teraz, kiedy ma w banku spore pieniądze uważa za swój święty obowiązek nie oszczędzać farby. Nakłada teraz warstwy grube, nie rozwadniając, po wyschnięciu bardziej przypomina to temperę niż akwarelę.

Tak, ma sporo pieniędzy na koncie w banku, chociaż nie bierze po 500 złotych za obrazek tak sztywno, bo Nikifor to nie MHD. Taksuje sobie gościa, opuści cenę, doda jakiś mniejszy obrazek. Mieszka wcale dobrze — w kamienicy naprzeciwko Prezydium MRN w Krynicy, w wielkim pokoju z ogromnym oknem. Stoi tam tapczan, którego Nikifor nie lubi bo przyzwyczaił się do starego łóżka — stoi telewizor, trzy radioodbiorniki, fotele oraz wielka skrzynia pomalowana w łemkowskie wzory, zawierająca wszelakie skarby Nikifora i z tego tytułu zamknięta na wielką jak burak kłódkę. Mistrz nie uznaje tradycyjnie banku, raczej skrzynię uważa za miejsce najpewniejsze. „Pieniądze trzeba do skrzyni!" — powiada, gdy wpływa jakiś grosz. Ale ulega perswazjom Malarza — dają do banku. Pięć radioodbiorników w sumie, cztery zegarki, około piętnastu pieczątek w kształcie królewskiego „sigilium" z wizerunkiem Nikifora pośrodku i biegnącym wkoło napisem „Nikifor Malarz artysta Krynica" — oto bogactwa krynickiego malarza.

Teraz chce mieć swój własny dom, chciałby swój własny samochód. Malarz codziennie wozi go z domu do pracowni swoim wysłużonym „Mikrusem". Nikifor sadowi się z nieodstępną ramką na przednim fotelu z dość dziarską miną, ale nie tak nonszalancką, jaką demonstrował w Bułgarii, przechadzając się we wzorzystej bluzce pośród pensjonatów nad Morzem Czarnym w kurorcie „Słoneczny Brzeg". Uchwycił tę minę na taśmie filmowej Malarz i cieszy się, że ten właśnie raz Nikifor prezentował się niemal jak kapitalista z Wallstreetu.

Wówczas podróżował nie „Mikrusem", ale samolotem; przygotowywał się do tej podróży, malował kilkakrotnie — oczywiście za każdym razem inaczej — lotnisko warszawskie. Za każdym razem inaczej — bo Nikifor nigdy jeszcze nie namalował dwóch takich samych obrazków. W samolocie czuł się świetnie dopiero później, bo z początku, gdy byli w chmurach wypatrywał z niepokojem aniołów, biskupów i wszystkich świętych — co pokrywał ironicznymi odzywkami „lecimy do nieba". Dopiero gdy anioły i święci nie pojawili się — Nikifor uspokoił się. Zaczął zajadać się winogronami — co uporczywie przez całe wakacje robił — nawet podobno przez sen.

Nikifor jest stary i kaszle. Kiedy kaszel targa zbyt mocno płucami — pozwala sobie na wyrzuty pod adresem matki. „Niedobra kobieta. Po co mnie urodziła?" Ale dotąd nie udało się wyjawić nikomu pochodzenia Nikifora — poza legendą, że jest nieślubnym dzieckiem posługaczki z Krynicy Wsi. Pojechaliśmy jednak do Krynicy Wsi z Malarzem coś wyjaśnić. Koło sławnej cerkwi, za asfaltową drogą jest uskok, za uskokiem kotlina, którą do Muszynki spływa krynicki potok. Nad potokiem jest gospodarstwo Michała z Brodą, a raczej duch tego gospodarstwa. Fundamenty młyna, porosłe chaszczami, obok młyńskie koło omszałe jakieś, choć na oko solidne jeszcze, dalej upiór chałupy, na której gontowy dach zawalił się do środka, na kształt naciśniętego od góry kapelusza. Wokoło jest pełno złomu, który zbiera Michał i raz na rok odwozi do składnicy za ekwiwalent pieniężny. Michał kopał właśnie ziemniaki. „Nikifora pamiętam. Jakem wrócił z wojny, znaczy się tej pierwszej, światowej — Nikifor jeszcze chłopcem biegał koło matki. Mały był zawsze, ale na oko — mógł mieć z 14, 15 lat. Wróciłem z wojny chyba w 1918 roku..." — wspomina całkiem rozsądnie Michał, uznany za najbiedniejszego szaleńca w okolicy i jako taki nie przesiedlony z Łemkami na Zachód. Nikiforowi udało się zwiać z transportu i niemal natychmiast zameldować się na swoim stałym miejscu w Krynicy. Później zresztą powtarzał swoje ucieczki — dwa razy z sanatorium w Rabsztynie, gdzie leczył astmę i gruźlicę.

— Matka Nikifora nazywała się Onycha — powiada Michał.

— Tyle — prócz znakomitej demonstracji jedynego w Polsce kołtuna długiego do kolan; w siedmiu strąkach, którego posiadaczem jest Michał z Brodą — informacji od Michała zdobyliśmy. Wynikałoby stąd, że Nikifor któremu dano sądownie nazwisko Krynicki i wystawiono wreszcie dowód osobisty — ma znacznie mniej lat, niż sam twierdzi. Przyznaje się bowiem do 69!

Wielki artysta o duszy austriackiego urzędnika zaczyna pracę sprawdzając czas na dwóch co najmniej zegarkach — o godzinie 9 i pracuje z przerwami na posiłki do ósmej wieczór. Gdy jest zmęczony — kładzie głowę na biurku i śpi nie wypuszczając pędzla z ręki. Gdy budzi się, natychmiast wykonuje ruch pędzla w kierunku zaczętego obrazka. Gdy skończy pracę — lubi opowiadać o swoich wędrówkach po Galicji. Gdzież on piechotą nie zaszedł. Był w Tarnowie, we Lwowie, Tuchowie, gdzieś tam po Słowacji nawet wędrował, żebrząc i sprzedając obrazki, których nikt przecież przed wojną nie traktował serio. Wprawdzie lwowski miesięcznik „Arkady" w artykule Wolfa omawiał obszernie prymitywizm malarski reprezentowany przez Nikifora — ale była to sprawa elitarna. Dopiero w latach pięćdziesiątych zaczęło o Nikiforze być naprawdę głośno w kraju. W latach sześćdziesiątych posypały się wystawy we wszystkich niemal stolicach Europy i za morzami. Polski Utrillo, znakomitość, sława.

Szczupły, stary człowiek schylony nad biurkiem — po latach ciężkiej pracy maluje własny dom. Stawia pewne kreski ścian — aby był to dom mocny, w którym będzie mógł pracować lata i który później innym jeszcze na całe lata starczy.

Napisałem: po latach ciężkiej pracy. Ktoś powie: jakiej pracy?! Że siedział i malował na murku? Że włóczył się po wsiach i żebrał po sanatoriach? Przecież jeszcze teraz chodzi po deptaku i zbiera pieniądze, pokazując ramkę z listem proszalnym i obrazki. Malarz krzyczał na niego. Nikifor był obrażony.

— Artysta nie żebrała — powiedział. Artysta pokazywała obrazki.

To dla niego ważna sprawa: pochwalić się obrazkami. Malarz go rozumie.

— Ale żebrałeś!

— Pokazywała obrazki. Ludzie dawali pieniądze. Miała nie brać?!

— To niedobrze...

— Artysta nie lubieć nikogo — gniewa się Nikifor.

— Malarza także?

— Malarza także!

Ale wiadomo, że za chwilę będzie rozejm. Nikifor w nagrodę zrobi porządek w ich wspólnej pracowni, pod nieobecność Malarza i będzie udawał, że o niczym nie wie. Że to krasnoludki. Miny pocieszne będzie stroił, gdy Malarz zacznie szukać jakiejś farby czy szkicu — że pojęcia nie ma, kto tu wysprzątał. Malarz przez trzy tygodnie nie będzie mógł niczego znaleźć — ale będzie bardziej lubił Nikifora za ten gest. Tak to już jest między nimi.

A Krynica nie lubi Nikifora. Może za to, że nie potrafiła od razu go docenić — na samym początku. Co drugi kryniczanin mówi: przed wojną obrazkami Nikifora paliłem w piecu! I teraz rzeczywiście nie można odnaleźć tych najwcześniejszych obrazków, sprzed wojny. Nieliczne tylko się dochowały. A pracowity żywot Nikifora obliczyliśmy z Malarzem na jakieś 25—30 tysięcy obrazków. Zakładamy, że 20 tysięcy przetrwało z tego na pewno. Trzeba powiedzieć, że Nikifor maluje i malował około 2 obrazków dziennie. Skromnie licząc 700 na rok. Mniejszych robił więcej. Tytan pracowitości.

Robiła mu Krynica wstręty i robi. W kamienicy, gdzie od roku mieszka podniósł się niemal zbiorowy bunt: chorego na gruźlicę żebraka między porządnych ludzi?! Skandal! Aranżerem buntu był bardziej zaawansowany gruźlik, dzięki temu protest upadł.

Brzuchaci panowie pod gablotą w Nowym Domu Zdrojowym powiadają:

— Pan myśli, że on to sam tak maluje?! Skąd, teraz mu dali zawodowego plastyka, on mu rysuje i wszystko poprawia. Taka heca...

Tymczasem — będąc u Nikifora w domu, około godziny dwudziestej pierwszej trzydzieści — zastałem go, jak jeszcze rysował kompozycje do przyszłych obrazków. Był to cykl okolicznych miast. Temat główny: rynek i ratusz. Tuchów, Tarnów, Nowy Sącz, Muszyna... Widziałem jak pod ręką nieomylnie wyrasta kształt znanego mi ratusza nowosądeckiego, może nieco zmieniony, ale na końcu świata poznałbym tę śmieszną budowlę po wygiętym mansardowym dachu i cienkiej jak igła wieżycy. Ale nad podpisem „Muszyna" coś zaskakującego. Jest kapliczka ze świętym Janem, drugiej nie widać — i jest trawnik z ławkami, ale pośrodku rynku, gdzie pusty plac — ratusz nagle wyrósł. Z wieżą, na wieży ganek, na szczycie flaga. Nikifor pokazuje palcem na ganek:

Fot. MARIAN WŁOSIŃSKI

JAN KOPROWSKI

POTOMKOWIE TESPISA

FRAGMENT POWIEŚCI

Jeszcze się wżdy trochę nie kwap,
A chodźże mię, ale obłap.

MIKOŁAJ REJ: „ŻYWOT JOZEFA"

Nasz dyrektor Walerian Brutus był zawsze dokładnie poinformowany o tym, co dzieje się w teatrze. Znał wszystkie tajemnice, nawet najbardziej intymne sprawy docierały do jego gabinetu najwcześniej. Nie od razu zorientowałem się, że mu po prostu donosili o wszystkim usłużni informatorzy. Muszę mu oddać sprawiedliwość: nie zabiegał o nich. Przychodzili sami i jak na targu ofiarowali swoje usługi. Dyrektor wysłuchiwał skwapliwie, nigdy nie zdradzając nadmiernego zainteresowania. Nie nagabywał również nikogo, ot, wszystko lazło mu w ręce nieproszone. Jedni znosili wiadomości, by się przypodchlebić, drudzy powodowani wyostrzoną czujnością, jeszcze inni — z nawyku lub z chęci zwrócenia na siebie uwagi. Najlepsze jednak informacje miał z garderoby damskiej, zapewne dlatego, że pochodziły one z najwiarygodniejszego źródła: od jego żony Marceliny Topoli. Tu muszę od razu dodać: Marcelina Topola nie wykorzystywała faktu, że jest żoną dyrektora. Nie miała pretensji, by grać role hrabin i królowych, znała granice swoich możliwości i nie zadzierała nosa. Była życzliwa i uczynna, chętnie okazywała pomoc innym — słowem, zachowywała się w sposób zupełnie nietypowy.

Garderoba damska mieściła się na parterze w trzech niedużych pokojach. W korytarzu znajdowało się pokaźnych rozmiarów lustro, w którym aktorki sprawdzały raz jeszcze przed wyjściem na scenę, czy wszystko na nich w porządku, oraz kozetka, na której można było usiąść lub położyć się i odpocząć. Ilekroć po skończonym przedstawieniu zaglądałem do opustoszałych garderób, zawsze przychodziło mi na myśl, jak wiele mogłyby powiedzieć, gdyby mówić umiały. W ściany bowiem, jak w gąbkę wsiąkały codzienne i cowieczorne rozmowy aktorek (garderoby aktorów mieściły się na pierwszym piętrze, ale było tam na ogół cicho i z rzadka tylko słyszało się gwar rozmów). Jędruś, który dbał o rekwizyty i musiał nieraz zachodzić do garderób, mawiał zwykle:

— O czym one tak ciągle mówią? Widać prawda, że Pan Bóg dał kobiecie język, ale odebrał rozum.

W garderobie można było dowiedzieć się wszystkiego: jakie nowe swetry nadeszły do „Galluxu", na co podskoczyły ceny, gdzie najlepiej przerywać ciążę, co dzieje się w innych teatrach, kto z kim i gdzie się przespał. Nade wszystko zwierzały się z własnych zmartwień i kłopotów lub po prostu opowiadały, co im ślina na język przyniesie.

— Wszyscy mówią, że życie erotyczne daje niebywałą rozkosz. A ja jestem już siódmy rok w małżeństwie i muszę wyznać, że nie odczuwam nic szczególnego.

Janina Brykówna spojrzała po koleżankach i wzruszyła ramionami. Wszystkie jak na komendę gruchnęły śmiechem. Pierwsza odezwała się Markotna:

— Jeśli się nie pogniewasz, to ci powiem, co o tym myślę.

— Mów, proszę cię.

— Widzisz, Janka, to jest tak. Ty masz stosunkowo duży nos. No, spojrzyj w lustro. Prawda? A kobieta z dużym nosem jest głęboka i nie każdy mężczyzna może ją zaspokoić. No cóż, nie poszczęściło ci się.

— E, gadasz głupstwa.

— Markotna ma rację — wtrąciła się starsza aktorka, Wisława Fryga. — Ten twój szanowny małżonek to, z przeproszeniem, kurdupel jakich mało.

— No, wiecie — Brykówna zaczerwieniła się jak uczennica i wyskoczyła z pokoju.

— Gdzie lecisz, Janka? Nie wygłupiaj się! Zostań tutaj! — wołały na przemian koleżanki.

— Od razu widać, że niedopieszczona histeryczka — odezwała się po chwili Salińska. — Namówiłybyście, którego z naszych kolegów. Jej potrzeba chłopa jak z gwardii carskiej.

— Ziemia, Ziemia! — zawołała Joanna Kalińska. — Ten by jej dogodził. Czy wiecie, co mi się z nim zdarzyło? Kiedy w trzecim akcie jest scena tańca, mnie wypada tańczyć z nim, jak wam wiadomo. Żebyście wiedziały, jak się do mnie przyciska. Jak do poduszki. A wczoraj, wyobraźcie sobie, nagle poczułam...

— Co poczułaś — spytała Leokadia Radkowska.

— Ty, nie bądź pierwsza naiwna — Fryga zarechotała głośnym śmiechem. — Nie wiesz, co można poczuć u chłopa.

— E, gęby macie niewyparzone — powiedziała Radkowska i znowu milczała.

— Oj, Lodziu, Lodziu, masz dwoje dzieci i zachowujesz się, jakbyś dopiero wczoraj straciła cnotę!

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Brykówna.

— No, cóż ty Janka, uciekasz, jak nie przymierzając prawiczka! — zgromiła ją Fryga. — Na drugi raz żebyś mi tak nie robiła.

— A wiecie, co mi się śniło ostatniej nocy? — zaczęła Salińska, by oderwać uwagę od Brykówny.

— Silentium! Bronka zakłada mowę. No, więc cóż bredziłaś w tym swoim śnie?

— Wystawcie sobie, śniło mi się, że jest scena, a na tej scenie nic, tylko schody. Od dołu do góry. Może pięćdziesiąt stopni, a może i więcej. Gong. Kurtyna idzie w górę. Na razie scena tonie w ciemnościach. Nagle pada snop światła. Czerwony reflektor kieruje się na sam najwyższy stopień schodów. I w świetle ukazuje się kobieta. Nagusieńka. Powoli zaczyna schodzić na dół. Wolno, krok za krokiem. Reflektor ją prowadzi. Gdy znajduje się na najniższym stopniu, scenę zalewa potok światła, a ona, naga i wspaniała, rusza na proscenium, wprost na widzów.

— Naturalnie, to byłaś ty — zaśmiała się Fryga.

— Żebyś wiedziała.

— Bronka, niedobrze.

— Dlaczego?

— We śnie wyłażą wszystkie ukryte pragnienia.

— A wiecie? — Salińska ożywiła się jeszcze bardziej. — A wiecie, że ja chciałabym wystąpić nago. Właśnie w takiej sytuacji. Zadrwić że wszystkich, nawet z samej siebie. I zatańczyć przed nosem publiki, zaszaleć, a potem z szatańskim śmiechem zbiec ze sceny.

Nagle zabrzęczał głośnik:

— Uwaga, uwaga! Trzeci dzwonek! Trzeci dzwonek! Aktorki z garderoby numer jeden proszone są na scenę! Aktorki z garderoby numer jeden proszone są na scenę!

— Jadzia daje znak. Chodźmy!

Drzwi otworzyły się i jedna za drugą wysypały się w zakulisie. Przedtem jeszcze zerknęły do lustra, ta poprawiła włosy, owa kołnierzyk lub falbankę u sukni. Jędruś patrzył za nimi i mruczał:

— Kobietki jak łanie. Ech, założyć by harem, cholewcia.

Jędruś był małego wzrostu i głos miał piskliwy, jak dziecko. Pochodził z Rawy Mazowieckiej, gdzie wcześnie odumarli go rodzice. Był sam, ale zachował humor i pogodę ducha. Idealnie pracował i wszyscy byli zeń bardzo radzi.

— Bo poza tym teatrem, cholewcia, to ja już nic nie mam. A, co mi tam! Niech się bogaty martwi. Mnie dobrze i nie narzekam. A jak spojrzę na te kobietki, to mnie największy smutek odlata. Ale z aktorką, wiesz pan, to bym się nie ożenił. Za nic na świecie, cholewcia. Aktorka to tylko tak, żeby na nią popatrzeć, pokochać, jak się uda, ale żona z niej — szkoda gadać. No pewnie, nie każda, są i takie, co owszem — ale tak w ogólności, cholewcia, żony z nich nieporęczne. Pan nie znasz teatru to pan nie wiesz. Ja od małego za kulisami, tom się napatrzył. Aktorki ciągle się rozbierają, ubierają, malują, pudrują, to krew się burzy i nastrój do kochania na zawołanie. Jedna z drugą aż dyszy, cholewcia. A na scenie, w rozmaitych sztukach, ile całowania i obłapki. To tak do tego nawykły, że bez rębajku ani rusz. Cni im się. A jak, która nie może, znaczy się powodzenia brak, to chociaż tym gadaniem chce się zadowolnić. Ale aktorki, cholewcia sprytne, znają te tajemnice miłości i prawie każda ma apsztyfikantów pod dostatkiem. A niejedna to nawet nie jednego. Bo, wiesz pan, jak kobieta czego zwyczajna, to i kijem nie odpędzisz. A tu i czego żałować. Mydło? Wymydli się? Weź pan taką Kalińską. Cudna na schwał. I wygląda niewinnie, jakby ciągle tylko w kościele siedziała. Ona tu u nas niedawno, przyjechała z Krakowa. Z początku, cholewcia, tom patrzał w nią jak w obrazek. Myślałem sobie: ta czysta jak źródło świętego Franciszka. Obchodziłem ją z daleka. A, co się pokazuje? Ma męża, podobnież doktora weterynarii a w Krakowie miała dziecko z aktorem. I tu już sobie znalazła frajera. Od Operetki. Wieczorami on tu po nią przylatuje. Spacerują pod rączkę, cholewcia. I zeby choć coś pomyślnego. Ten niby apsztyfikant. Gdzie tam! Gęba jak u Fernandela, tylko, że Fernandel to talent z łaski Bożej, a ten to nie heblowana noga. Widziałem go, bom był w tej tam Operetce. Gra nie przymierzając, jakby drzewo rąbał. I patrz pan, taka kobieta ma smak z nim. Aż mi się nie chce wierzyć, cholewcia.

Jędruś zamyślił się, a potem machnął ręką zrezygnowany.

— Bo w miłości, wiesz pan — ciągnął dalej — to wszystko inaczej. Chłop się widzi brzydki jak małpa, a kobiety latają za nim bez przytomności. Uroda, cholewcia, nic nie znaczy. Mężczyzna jak tylko ładniejszy od diabła, to już piękny. A baby kochają siłę. Taki jak przyciśnie, to w babie aż kości trzeszczą i serce mdleje. A te rzeczy? Lepiej nie gadać. I ten od Operetki pewnie taki. Nieraz to patrzę na tę Kalińską i myślę: śliczny aniołku, diable rogaty, na co ci ten koń z gębą jak u Tatara, tyś godna królewicza. I taki mnie, cholewcia, żal obejmuje, że nieraz to mi się na płacz zbiera. Wstyd się przyznać, ale tak jest. I ja wiem, że ja martwię się za nią. Bo ona się nie martwi, jej dobrze z tym bucefałem. No, patrz pan, jakie jest to życie. No, ale ja lecę, bo Jadzia na mnie kiwa.

Odbiegł truchcikiem, mały zabawny w ruchach, a ja stałem w zakulisiu i myślałem zupełnie nie o tym, o czym mówił Jędruś.

Burzliwe oklaski na widowni zapowiedziały koniec aktu. Sztuka się podobała, bo kurtyna poszła w górę kilka razy. Aktorki wracały do garderób sznurem, niektóre skręciły w lewo i zeszły po schodach do bufetu.

Ludzie z zespołu technicznego wynosili dekoracje ze sceny i ustawiali nowe. Pierwszy brygadier, Jawor, starszy człowiek, co zęby zjadł na robocie w teatrze, dyrygował i sam wnosił różne rzeczy na scenę.

Pojawił się dyrektor Brutus, jakby oto wyskoczył spod ziemi.

— No, co jest, panie Jawor?

— Szafa gra, panie dyrektorze.

— Niech więc pan czuwa, żeby wszystko było w porządku.

— Po co ta mowa, dyrektorciu. Wiadomo.

Jawor mrugnął i poszedł w głąb zakulisia.

— A pan co tu robi? — Dyrektor zwrócił się nagle do mnie. — Przecież panu za to nie płacą.

— Lubię teatr o tej porze.

— Poeta — powiedział i nie wiem, czy kryło się w tym słowie uznanie, czy po prostu kpina.

Najchętniej jednak rozmawiał dyrektor z Jędrusiem. Właśnie zbliżył się do nas i tylko czekał na okazję.

— No, co u pana słychać, panie Jędrusiu?

— U nas w Rawie Mazowieckiej mówili: słychać mało, nie słychać dużo. Kobietki panie dyrektorze, smykają się, a człowiekowi wolno tylko popatrzeć, cholewcia.

— Ja panu nie bronię i dotknąć — Brutus roześmiał się w głos.

— Tutaj, panie dyrektorze, władza pańska nie dziejstwuje.

— A która się panu najbardziej podoba?

— Wstyd powiedzieć, panie dyrektorze — pańska żona.

Brutus zaśmiał się jeszcze głośniej i podniósł okulary na czoło.

— A tutaj to władza moja sięga, owszem. Ale pozwolić nie mogę.

— Ano właśnie, taka to ta dyrekcja. Gdzie może, nie pozwoli, gdzie nie może — pozwala. Nie ma sprawiedliwości na świecie, cholewcia.

Jędruś parsknął śmiechem. Staliśmy w trójkę w przejściu, a obok nas przechodzili technicy, elektrycy, aktorzy. Jadzia stała przy pulpicie inspicjenckim i patrzyła na zegarek, czy pora dać sygnał na rozpoczęcie drugiego aktu. Niespodziewanie zwrócił się do niej dyrektor:

— Jadziu, wypłaszaj wesołość zza kulis na scenę. W ciemnościach wszyscy się gżą, a w świetle każdy stoi jak dupa.

Brutus postał jeszcze chwilę, a potem poszedł do swej loży. Jadzia milczała a Jędruś obróciwszy się na pięcie zaśpiewał sobie, a nuzom:

Nie będę ja piwka pił,
bo by mi się spodeń gził.

Stanisław Wójtowicz. Portret z kotem. Drzeworyt.

— Fojermany tu mają chodzić!

— Ale w Muszynie ratusza nie ma! — wołam.

— To będzie taki. Bo gmina, poczta, sąd i biblioteka osobno. A na dole sklepy. Prawą stroną — pokazuje palcem na rysunku tor kolejowy — przejeżdżać będzie kolej, lewą samochody. Nikifor ma pasję poprawiania rzeczywistości. W Bułgarii zaprojektował osobliwe kąpielisko nadmorskie. W plażę i morze wkrojone były przegrody dla osobnych kategorii kąpiących się. W jednej od 5 do 10 lat, w następnej od 10 do 15 i tak dalej, każda przegroda o pięć lat wyżej.

Miał Nikifor gotowy cykl świątków, projektował cykl cerkiewek. Nie maluje inaczej, tylko cyklami. Ale nie zdarzyło się jeszcze aby cały cykl znalazł się w ręku jednego kupującego. Po pierwsze za drogo — po drugie — zanim cykl wykończy — już jest wykupiony przez gwałtownych nabywców, którzy oblegają w sezonie pracownię Nikifora.

Artysta nie je chleba, tylko bułki — powiada Nikifor. I je tylko bułki. Artysta nie chodzi do domu, tylko jeździ. Tylko jeździ! Artysta. Celebruje to słowo, kocha się w nim, korzysta z luksusów z radością dziecka. Artysta nie lubi „czarno-białych" (pielęgniarek). Artysta nie lubi dorożkarzy, bo dorożkarz nr 26 lieś tam roków temu wziął obrazek i nie zapłacił. Artysta musi mieć swój dom pośrodku Krynicy, na deptaku.

Jest więc dom z dachem, z werandą na froncie, piękny masywny i zupełnie przeciętny. Takie domy budowali zamożni gospodarze w zamożnych wsiach. Weranda przeszklona małymi szybkami.

— Kto tu będzie mieszkał?

— Artysta!

Dla zadokumentowania maluje napis: „Nejitor, Artysta, Matejko". W trzech rzędach, jeden nad drugim, na froncie werandy. „Nejitor" — zawsze tak pisze swoje imię. Nigdy normalnie, jak wszyscy.

Jako architekt był jednak Nikifor śmiertelnie poważny. Nie dał się zbić z tropu. Narysował taki dom, o jakim naprawdę marzył. Od dzieciństwa bo nigdy żadnego domu nie miał.

— Ile będzie pokoi? — pyta Malarz.

— Osiem! — powiada artysta Nikifor, pełen godności.

— Czy artysta musi mieszkać aż w ośmiu pokojach?

Milczenie się przeciąga. Nikifor dorysowuje na dachu pięć wielkich obrazków, które z dala mają sygnalizować, że to dom artysty. Potem kręci się niespokojnie. Uznaje, że tak jest źle.

— Trzeba wymazać gumką! — podpowiadam.

I okazuje się, że Nikifor nigdy w życiu nie używa gumki. Po prostu w rysunkach się nie myli.

— Osiem pokoi. Letnikom wynajmować! — wypala nareszcie Artysta.

Jest w tym coś z dziecinnej chytrości. Nie trzeba mu zarabiać na letnikach. Ale takimi powiedzonkami chce zarobić sobie na opinię, że jest taki sam jak inni w Krynicy: wszyscy tu zarabiają na letnikach.

Jaki był godny i radosny, kiedy autem przyjechaliśmy do cerkiewki w Brunarach, jak proboszcz zaprosił go na plebanię i poczęstował winem. Biedny był ten proboszcz, ręce miał uwalane w ziemi, bo w polu pracował, nie było w nim nic z pasibrzucha i Nikifora podejmował z radością winem, jak wielkiego malarza. Nikifor to wyczuł. Nigdy nie bywał przyjmowany tak na plebaniach, co najwyżej wystawiano mu na dwór miskę z jedzeniem. Teraz rozmawia z księdzem, jak równy z równym. Pewnie za sprawą tych zastępów tysięcy świętych i aniołów, których wymalował! Rysuje zamaszyście cerkiewkę w Brunarach i pięknym, zamaszystym gestem wręcza księdzu. Otwiera jeszcze swoją ramkę i pokazuje obrazki świątków. Każe księdzu, żeby sobie wybrał jeden.

— Nie miała drobnych na ofiara. A popu trzeba dać ofiara! — wyjaśnił na koniec.

Wróciliśmy z krainy cerkiewek i wspaniałych Pantokratorów, ikon i świątków, dziwnych domków i staroświeckich pensjonatów, gdzie pośród lesistych gór narodziła się malarska poezja Nikifora. Są jednak ludzie, którzy poza naiwnością i faktem, że Nikifor nie umie zwyczajnie mówić niczego się nie chcą w nim dopatrzyć. Ich sprawa. Nie można nikogo namawiać, aby uwierzył w jakąkolwiek sztukę — póki ta sztuka sama nie poruszy jego serca.

Jest noc, wychodzimy z pracowni bocznym wejściem, Nikifor niesie swoją nieodłączną ramkę z obrazkami i torbę raportówkę, przewieszoną przez ramię.

— Architekt zaprojektuje ci dom! — powiadamy.

— Dobrze. Artysta mieć własny, piękny dom. Wszyscy będą robić „pstryk"! Na czterech rogach będzie warta. Żeby nic nie ukradli! — oznajmia mistrz i schodzi po schodkach. Malarz prowadzi go pod rękę przez szyny, gdzie przejeżdżają dniem wagoniki z borowiną, tuż za torem czeka „Mikrus". Zimą będzie gorzej. „Mikrus" pójdzie do garażu, Dorożkarze kosić będą sporry grosz, wożąc Nikifora saźmi do domu. Drą z niego nieludzko, coś 30 złotych za kurs. Inaczej, powiadają, im się nie opłaca. I opowiadają legendy o skarbach Nikifora.

A tymczasem to Nikifor jest skarbem Krynicy.

Mówię Malarzowi: trzeba mu zaprojektować dom. W stylu Nikifora. Niech stanie nawet pośrodku Krynicy. Będzie z tego pawilon wystawowy albo muzeum.

— Zwłaszcza, że Nikifor nie chce tego za darmo.

Nikifor woła mnie, gdy jestem już kilka kroków od „Mikrusa".

— W Brunarach u ojca — chwytam wyrazy. I wręcza mi obrazek. Jest to ów dziwny domek we Florynce, na który patrzył kilka minut, aby później z pamięci go namalować.

Po chwili artysta pędzi koło poczty „Mikrusem" Malarza i błogosławi Krynicy.

---

*) Malarzem nazywam w reportażu Mariana Włosińskiego, artystę plastyka, absolwenta krakowskiej ASP, który jest plastykiem zdrojowym w Krynicy oraz równocześnie kuratorem Nikifora z wyboru. Wyboru dokonał sam Nikifor, od lat przychodzący do pracowni Włosińskiego malować.

LECH
PIJANOWSKI

Film Polski 1964

Filmowy rok 1964 przeszedł pod znakiem dyskusji, dlaczego źle się dzieje w kinematografii polskiej. Podstawą wszelkich rozważań w takim nastroju był fakt, że w tym roku nie powstał — istotnie — ani jeden film bezspornie wybitny, ani jedna pozycja godna szczególnej, napiętej uwagi ze względu na zrealizowane wysokie ambicje, poziom artystyczny i wymowę społeczną. Podłożem drugiego, niejako równoległego nurtu dyskusji był fakt nie powstawania i nieistnienia filmów o ostrej, zaangażowanej tematyce współczesnej. Sama dyskusja zainteresowała, jak się zdaje, wielu ludzi, skoro z łam tygodników niejako fachowych, filmowych i kulturalnych, przeniosła się na łamy dzienników („Życie Warszawy").

Szczególnie często, i jako zarzut, i jako obrona przed zarzutami padały tytuły filmów, **których nikt jeszcze na ekranie nie widział, dwuseryjnych dzieł Andrzeja Wajdy, Jerzego Kawalerowicza i Wojciecha Hasa.** Mówiono: nie możemy robić niczego więcej ani też inaczej, niż robimy, gdyż cały wysiłek machiny kinematografii skierowany jest na realizację „Popiołów", „Faraona" i „Rękopisu znalezionego w Saragossie". Mówiono także: poczekajcie z zarzutami, że nie ma filmów wybitnych, dopóki nie zobaczycie „Popiołów" „Faraona" i „Rękopisu znalezionego w Saragossie"...

Nigdy nie byłem szczególnie gorliwym zwolennikiem rocznego „podsumowywania" działalności twórców filmowych, gdyż sądzę, że w sztuce filmowej liczą się fakty artystyczno-społeczne, filmy, a nie daty z kalendarza. Moda i nawyk corocznych uogólnień są jednak siłą tak potężną, że należy im się jakoś podporządkować. Starał się więc będę nie uogólniać ani nie podsumowywać zbyt wiele — zabiorę raczej głos we wciąż trwającej dyskusji o filmie polskim, argumentów i pozytywnych i negatywnych szukając głównie — choć nie wyłącznie — w filmach roku 1964.

Swoista „diagnostyka" ilościowa, nie tylko statystyczno-produkcyjna, bynajmniej nie prowadzi w stronę skrajnego pesymizmu. **W roku 1964 na ekrany kin weszło 29 nowych filmów polskich** (właściwie 30 — „Panienka z okienka" w dwu częściach), pod koniec roku na różnych etapach produkcji (od zatwierdzonego do realizacji scenariusza poczynając, na oczekiwaniu na premierę kończąc) znajdowały się ponadto 23 filmy. Rozpoczęła się także i rozwija produkcja zupełnie nowego rodzaju: średniometrażowych filmów telewizyjnych (w produkcji są 4 różne serie filmowe, 21 tytułów).

Równie ważne, jak normalny — a nawet rozwijający się — ilościowy poziom produkcji jest trwające wśród widzów przekonanie, że filmy polskie warto oglądać — **dowodzi tego statystyka frekwencji w kinach: przeciętny film polski z reguły osiąga większą liczbę widzów, niż równie przeciętny film zagraniczny.** Lubimy polskie filmy, nie tylko bardzo dobre i dobre, lecz także te przeciętne. Kredyt zaufania u publiczności pozwala jak myślę, wielu naszym twórcom spokojnie pracować. Także większość widzów, jak mi się wydaje, traktuje alarmistyczne dyskusje o „upadku polskiego filmu" z pewną rezerwą cierpliwości i dość spokojnie.

Właściwie dość dziwny jest upór, z jakim zapominamy (ja także), iż żadna sztuka filmowa świata (polska również), **nie jest fabryką wyrobów ze znakiem wysokiej jakości, lecz wynikiem działania konkretnych ludzi.** Mamy reżyserów wybitnych i utalentowanych, mamy dobrych i solidnych, mamy przeciętnych, wreszcie mamy miernych i złych. Nie zrobił i nie zrobi już żadnego filmu Andrzej Munk (jego i Lesiewicza „Pasażerka" stała się wydarzeniem artystycznym w skali światowej); nie wszedł na ekrany żaden film Andrzeja Wajdy, Jerzego Kawalerowicza, Wojciecha Hasa; „Pierwszy dzień wolności" Aleksandra Forda to dla widzów już film 1965 roku, Skoro kilku najwybitniejszych twórców nie zamanifestowało swej obecności na ekranach kin, milczenia tego nie mogą zrównoważyć dzieła kilku twórców dobrych, ani tym bardziej — kilkunastu przeciętnych. Są istotne powody do zasmucenia się i zadawania pytań, **dlaczego niezbyt planowo wykorzystujemy najwybitniejszą twórczą siły naszej kinematografii,** ale powodów do paniki nie widzę. Tym bardziej że to co działo się na ekranach kin, nie powodując na pewno chóru okrzyków zachwytu, nie jest wcale obrazem smutnego upadku sztuki, nie mówiąc już o skromniejszej, także ważnej roli filmów: **o dostarczaniu publiczności rozrywki w różnych formach,** o sprawnym działaniu w wielu konwencjach i zakresach tematycznych. Od tej strony chyba warto przyjrzeć się bliżej niektórym sprawom, które wynikają z filmów roku 1964.

Oto wcale poważny procent produkcji stanowił gatunek wciąż deficytowy — komedie (6 tytułów). Oto w czterech filmach pojawiła się tak trudna i tak potrzebna tematyka wiejska. Nasza nie tylko szeroko pojęta współczesność, ale wręcz dzisiejszość, codzienność stanowiła tło co najmniej ośmiu filmów. We wciąż aktywnej tematyce wojny i czasu wojny (co najmniej dziesięć filmów bardzo różnych w tym kilka, w których lata minione stanowią retrospektywną część i akcji filmu i jego problemów) utrwalił się w trzech filmach powszechnie uznanych za dobre, a w każdym razie za interesujące, szczególnie ciekawy zakres tematyczny: problemy pionierskiego okresu tuż powojennego („Pierwszy dzień wolności", „Prawo i pięść", „Agnieszka 46").

Szczególnie warte wzmianki wydają się dwa filmy raczej nieudane: „Wilczy bilet", próba zaangażowanego, konfliktowego filmu współczesnego oraz „Rachunek sumienia" — także próba, filmu społeczno-rozrachunkowego. Oczywiście żal wielki, że obydwie te, tak ważne pozycje, nie okazały się lepsze — ale szczerze mówiąc wolę, iż powstały, niż gdyby miały w ogóle nie powstać; **można przecież mieć nadzieję, że w tak ważnych sprawach nie okażą się filmami jedynymi i ostatnimi,** a z braku ich sukcesu innymi — a może i ci sami — twórcy wyciągną wnioski.

Jestem optymistą, gdyż dość zasadne wydają mi się liczne argumenty przeciwko poglądowi o szczególnym kryzysie filmu polskiego (niektóre z nich przytoczyłem). Z drugiej strony rozumiem także pesymistów i pod pewnymi względami podzielam ich niepokoje.

Istnieją w aktualnym obrazie naszej sztuki filmowej elementy może nie kryzysu, lecz zastoju, swoistej stagnacji ambicji i myśli. Od czasów „Jak być kochaną" Hasa nie było właściwie filmu, który by głębszy ładunek myślowy skutecznie łączył z ciekawą formą filmową i ambicją społecznego oddziaływania — i tak trwa już dłużej, niż rok, a nawet niż dwa lata... Nie ma takich filmów nawet nieudanych, tylko zamierzonych. Ogólny obraz szarzeje — nie ma także nawet spornych, ale ważnych debiutów nowych twórców (krążą pocieszające wieści o „Rysopisie" Jerzego Skolimowskiego, ale i film nie jest znany i jedna jaskółka wiosny nie czyni). W twórczości krótkometrażowej, zawsze bardziej prężnej, występują niestety cechy podobne: **jest wiele filmów użytecznych, bardzo wiele poprawnych i niezmiernie mało utworów pod jakimiś ważkimi względami rzeczywiście nowych.**

Z bliskiej więc i z nieco dalszej perspektywy obraz naszej kinematografii zmienia się: dzisiaj jest ona użyteczna, ale mniej dynamiczna, niż kilka lat temu. Chciałoby się, aby nasza kinematografia, zachowując swoje dzisiejsze niewątpliwe zdobycze, rozwijała się bardziej widocznie, wyraźniej kontynuowała swoje własne osiągnięcia. Jeśli zależy to w jakimś małym nawet stopniu od ostrości dyskusji o tych sprawach i od wielkości stawianych postulatów, warto i dyskutować i wymagać wiele.

Szczególnym powodzeniem wśród widzów cieszyła się realistyczna i groteskowa jednocześnie komedia reż. Tadeusza Chmielewskiego, „Gdzie jest generał" — dowód, że od twórcy „Ewa chce spać" można spodziewać się niejednego jeszcze, śmiesznego i dobrego filmu.

Festiwale i pokazy

Obecność polskiej sztuki filmowej w świecie to nie tylko filmy, wyświetlane na ekranach kin wielu krajów i oglądane w programach telewizyjnych — to także stały udział naszych filmów w wielu międzynarodowych festiwalach filmowych różnych rodzajów oraz w innych imprezach międzynarodowych, połączonych z pokazami filmów.

W roku 1964 kinematografia polska wzięła udział w 67 takich imprezach łącznie — nie było więc tygodnia, aby gdzieś w świecie nie pokazywano co najmniej raz najnowszych filmów polskich. Bliżej sprawa przedstawia się tak:

	Pokazano pełnometrażowych filmów polskich	Pokazano krótkometrażowych filmów polskich.	Pokazano długo- i krótkometrażowych filmów polskich.	Razem
Na międzynarodowych festiwalach filmowych.	4	22	13	39
W czasie międzynarodowych imprez filmowych innych niż festiwale.	12	11	5	28
Razem	16	33	18	67

W Festiwalu Festiwali Filmowych, ósmym już z kolei, biorą udział trzy polskie filmy pełnometrażowe, nagrodzone w 1964 roku: „Pasażerka" reż. Andrzeja Munka, „Naganiacz" reż. Ewy i Czesława Petelskich oraz „Echo" reż. Stanisława Różewicza.

Wiele nagród międzynarodowych otrzymały również filmy krótkometrażowe (i one będą wyświetlane w czasie FFF).

W sumie, w roku 1964 filmy polskie na festiwalach otrzymały 31 nagród.

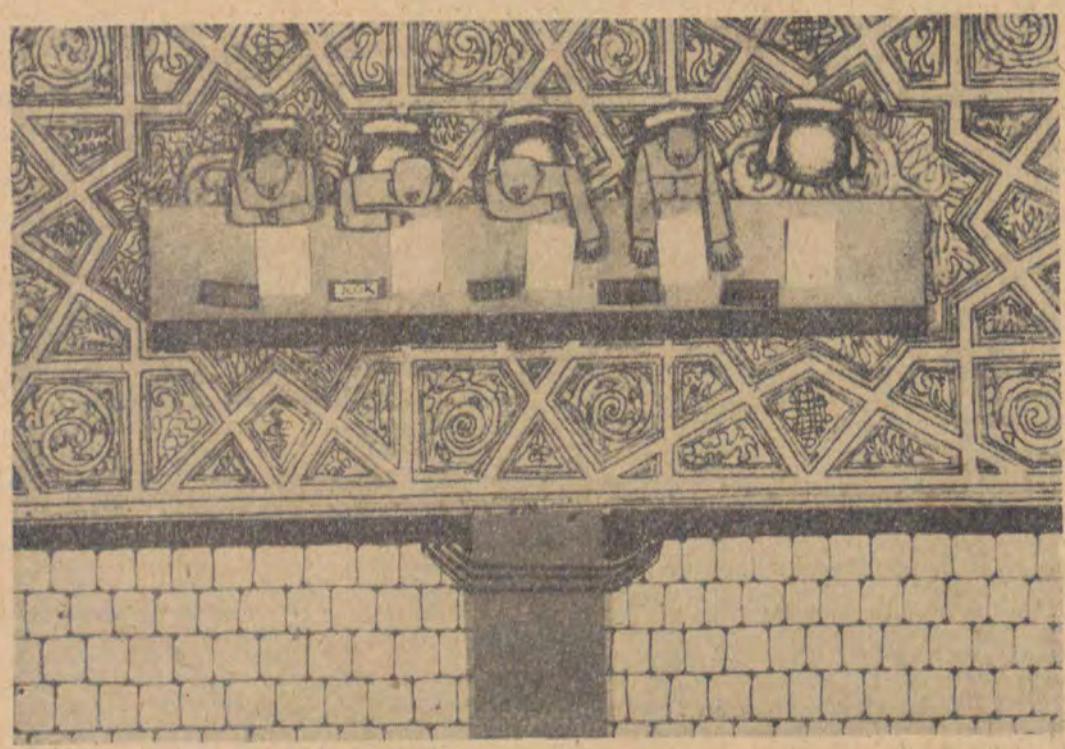

Satyryczna groteska, żart rysunkowy reżysera Daniela Szczechury, „Fotel" otrzymał aż cztery międzynarodowe nagrody festiwalowe: w Oberhausen (NRF), w Cordobie (Argentyna), w Buenos Aires (Argentyna) oraz w Krakowie (tak! na pierwszym w Polsce festiwalu międzynarodowym, od międzynarodowego jury).

Reżyser Wanda Jakubowska swoim filmem „Koniec naszego świata" udowodniła, że tematyka obozów koncentracyjnych do dziś zachowała żywotność, świadczy nie tylko o czasach okrucieństwa, pogardy i wojny, lecz także o naszym, coraz głębszym ich dzisiejszym widzeniu. Okazało się że w tych sprawach autorka „Ostatniego etapu" ma wiele do powiedzenia.

JULIAN BRYSZ

ZAMKI NAD ŁÓDKĄ I JASIENIĄ

...Karol raz jeszcze przyglądał się tym licznym pokojom, które stały w ciszy pustki i sztywności. Były tak wspaniałe, tak czyste, świeże, nowe, że robiły wrażenie wystawy tapicerskiej, urządzonej bardzo bogato, ale zupełnie bez gustu. Prócz Magdy nikt nie mieszkał w pałacu, stał na pokaz gościom i dlatego, żeby Muller mógł powiedzieć: Niech stoi, wszyscy stawiają pałace i ja kazałem postawić, mają salony, — i ja mam salony, i ja mam powozy i konie. Kosztuje drogo, niech kosztuje i niech sobie stoi, niech ludzie wiedzą, że Muller może mieć pałace...

Tak charakteryzował Reymont jednego z bohaterów swej „Ziemi obiecanej". Ta powieść, klimatem przypominająca amerykański western, przynosi jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny obraz Łodzi z przełomu XIX i XX wieku, miasta ujarzmionego przez garstkę fabrykantów, ogarniętych gorączką złota.

Reymont sportretował Scheiblera, Poznańskiego i dziesiątki pomniejszych potentatów, opisał drobiazgowo ich magnackie siedziby. Po ocalałych do dziś pałacach można chodzić z „Ziemią obiecaną", jak z przewodnikiem w ręku, zapełniać w wyobraźni te pełne przepychu sale reymontowskimi postaciami.

Nikt jeszcze nie wypowiedział się autorytatywnie, czy łódzkie pałace fabrykantów należy uznać za zabytki sztuki i poddać ochronie. Niezależnie od tego jednak, stanowią one wspaniały dokument epoki, która szybko odchodzi w zapomnienie. Do końca obecnego stulecia, jak twierdzą znawcy, nie będzie śladu po Łodzi XIX-wiecznej. Znikną ponure gmaszyska scheiblerowskich fabryk, wznoszone w elżbietańskim gotyku; buldożery rozniosą kolonie „famuł" robotniczych, to samo spotka zapewne i większość siedzib fabrykanckich. Ocknemy się prawdopodobnie, gdy będzie już za późno, gdy czas pochłonie pomniki historii Łodzi, jedynego przecież na kontynencie europejskim miasta, które całe jest niepowtarzalną ilustracją tragicznych dziejów społeczeństw, spętanych kapitalistycznym wyzyskiem.

☆

W XIX-wiecznym tyglu łódzkim, gdzie przemieszały się tradycje i stare podziały klasowe, jedynym kryterium wartości człowieka stał się pieniądz. Zewnętrznym objawem powodzenia, jak dzisiaj w Stanach Zjednoczonych marka i model samochodu, w Łodzi, było wówczas mieszkanie.

Fabrykant „musiał" mieć pałac. Dla sowicie opłacanych dyrektorów i inżynierów wznoszono kamienice w stylu pałacowym, jakich sporo dziś jeszcze pozostało na Piotrkowskiej, od Głównej do Placu Niepodległości. Warstwa kupiecka i urzędnicza lokowała się w bogatych, ale „seryjnych" i bezstylowych kamienicach na Piotrkowskiej i u wylotu jej przecznic. Dla majstrów i bardziej cenionych robotników były domy familijne. Proletariat gnieździł się w ponurych czynszówkach Bałut, bezrobotna biedota — w tragicznych slumsach przedmiejskich.

Żadne z pozostałych miast przemysłowych Europy nie nagromadziło takiej jak Łódź ilości blichtru i przepychu, tylu wspaniałych siedzib fabrykanckich, żadne nie miało w owym czasie takiej liczby komfortowych mieszkań. Jaka jest geneza tego bogactwa? Chcąc znaleźć odpowiedź, należy się zastanowić chwilę nad specyfiką polskiego kapitalizmu. W krajach Zachodu — we Francji, Niemczech czy Anglii — za wielki przemysł chwyciła się magnateria. Lord, który budował fabrykę w Manchesterze, miał swoje dobra i zamki na prowincji, w mieście nie osiadał.

Łodzi nie budowali lordowie, jej przemysł stworzyli ubodzy rzemieślnicy, których całym kapitałem była wiedza i inicjatywa. Przywędrowali tutaj, nieraz w jednej koszuli na grzbiecie, z Bawarii, Saksonii czy Lotaryngii, dostali kredyty od rządu Królestwa Polskiego, schwycili wielką szansę pionierów.

Przemysł łódzki zaczyna się od Ludwika Geyera i od niego też bierze początek historia setki fabrykanckich pałaców. Ten protoplasta wniósł Łodzi w posagu komodę, sześć zgrzebnych koszul i parę drewnianych warsztatów tkackich. Po dziesięciu latach od momentu, gdy osiedlił się nad Jasienią, miał już słynną fabrykę o 365 oknach, miał też pałacyk przy niej. Pałacyk niewielki, w niczym nie przypominający późniejszych „Luwrów" Poznańskiego, był naśladownictwem skromnego wzoru polskich dworków szlacheckich. Choć następni właściciele wielkich fortun odrzucili ów wzór jako śmiesznie ubogi, przyjęli jednak kierunek, wyznaczony przez Geyera: łódzcy nuworysze będą odtąd we wszystkim starali się naśladować arystokrację, swoją czy obcą, ale arystokrację. Nuworyszom jednak nie dane było wieść próżniaczego życia potomków wielkich rodzin magnackich; należało pilnować „interesu". Dlatego też swoje pałace lokować musieli w sąsiedztwie fabryk, a nie wśród sielskiej przyrody.

☆

Domy na północnej ścianie Placu Zwycięstwa, dawnego Wodnego Rynku, mają już ponad 100 lat. To pierwsze „famuły" Scheiblera. Obok nich przykucnął, jeszcze starszy od nich, parterowy domeczek, prawie chałupka. Jego dzisiejsi mieszkańcy złorzeczą zapewne na warunki w jakich muszą bytować i czekają z utęsknieniem na przeprowadzkę do bloków. Chyba nie wiedzą, że ta właśnie chałupka była pierwszym locum Karola Scheiblera, króla królów bawełnianych.

Naprzeciwko, po drugiej stronie rynku, Scheibler postawił swą pierwszą fabrykę — tzw. „stary giszeft". W czternaście lat później przeniósł się do pałacu w sąsiedztwie fabryki. To Scheibler właśnie wylansował styl, który potem Reymont określił ironicznie, jako berlińsko-łódzko-renesansowy. Los chciał, że właśnie ten najstarszy z pałaców zachował się do dzisiaj w niemal niezmienionym stanie, można podziwiać w nim wspaniałe majolikowe piece, rzeźbione w dębie boazerie, przepych sufitów, fragmenty ocalałych mebli.

Scheibler, w odróżnieniu od swych następców, był indywidualnością, budował pałac dla siebie, nie na pokaz. Stąd jego siedziba nie szokuje ogromem, jest typowym wygodnym mieszkaniem bogacza, który nie troszczył się o pieniądze, ale potrafił zachować umiar. Nie ma tam „pokojów do pisania listów", w których żadnego listu nigdy nie napisano, nie ma sypialni z umywalniami, w których można by kąpać konie — jak powiada Reymont — gdzie nigdy nikt nawet rąk nie opłukał.

Na liście winnych słynnego buntu przeciw maszynom w roku 1861, kiedy to Scheiblerowi zrujnowano tkalnię, obok robotników figurują również drobni właściciele małych fabryczek, którzy bardzo obawiali się rosnącej konkurencyjnej potęgi. Jest tam więc również i nazwisko Heinzla, późniejszego barona Hohenfels von Heinzel, jak się pieczętował.

Jeśli Geyer nadał kierunek, Scheibler wylansował modę, to Heinzel stworzył styl, ów styl szaleńczej, wielkopańskiej zabawy, wspaniałości i zbytku cezarów. Fortunę, wyciśniętą z krwawego wysiłku tysięcy robotników, obrócił Heinzel w pierwszym rzędzie na zakup niemieckiego zamku, do którego przywiązany był tytuł barona. On pierwszy również z fabrykantów zapragnął mieć dobra ziemskie. Na północ od Łodzi wykupił od szlacheckiej rodziny Zawiszów tereny dzisiejszego Julianowa i Łagiewnik. Postanowił mieć pałace na dwóch przeciwległych krańcach dóbr. Jego pałac w Łagiewnikach stoi do dziś, julianowski — zburzyli Niemcy z powietrza we wrześniu 1939 roku, dowiedziawszy się, że stacjonuje tam sztab Armii „Łódź". Heinzel urządzał w swych dobrach eskapady, polowania i wyścigi konne, hodował byki zarodowe (stąd łódzkie obelżywe określenie: „ty Heinzla byku"), nie żałował grosza dla pięknych kobiet, co zresztą przyczyniło się do jego późniejszej ruiny. W centrum miasta zbudował Heinzel piękny pałacyk, w którym dziś mieści się Prezydium RN m. Łodzi. Na zapleczu miał kompleks fabryk, zamienionych obecnie na biura Prezydium.

Wkrótce jednak znalazł się ktoś, kto zaćmił Heinzla.

Jest w powieści Reymonta pamiętna scena balu u Edelmanów. Wyfraczone towarzystwo snuje się po salonach a la Ludwik XIV i usiłuje udawać „high life", gdy nagle w drzwiach staje ciężka postać w chałacie i długich butach. Rozmowy cichną, towarzystwo z szacunkiem skupia się wokół tego ubranego nieodpowiednio gościa. Pojedyncze miliony rubli — powiada Reymont — oddają hołd dwudziestu milionom Szaji Mendelsona, pod którym to kryptonimem ukrył autor postać I. K. Poznańskiego. Nędzny zbieracz odpadków bawełnianych, potrafił w ciągu lat zbić fortunę równą niemal scheiblerowskiej. Pałace, które wystawił on i jego synowie, należą do najwspanialszych w Łodzi. Najpierw był skromny pałacyk tuż przy murze potężnej fabryki (dziś ZPB im. Marchlewskiego) zamieniony potem na biura dyrekcji. W roku 1902 słynny architekt petersburski Zelikson, wystawił Poznańskim nowy pałac przy rogu Ogrodowej i Zachodniej (obecnie siedziba WRN), sylwetką przypominający paryski Luwr. Tak, to był właściwy „format" Poznańskiego, posiadacza własnych plantacji bawełny na Krymie, własnej linii kolejowej, człowieka, który w szlafroku wychodził wieczorem na własny dworzec, wsiadał do własnego pociągu, by rankiem znaleźć się w Berlinie. „Luwr" miał 300 pokoi, w których wraz ze służbą mieszkało... 14 osób. Drugiej takiej sali jadalnej nie miał chyba i nigdy mieć nie będzie żaden fabrykant w świecie. Opowiadają, że Poznański zapragnął wyłożyć tę salę złotymi pięciorublówkami i w związku z tym wystosował wiernopoddańczy adres do cara z zapytaniem, która strona monety ma być na wierzchu — cyfra cesarska czy też orzeł — godło Wszechrosji. Car odpowiedział, że nie ma nic przeciw złotej podłodze, wszakże żadnej ze stron medalu nie godzi się deptać, wobec tego monety mają być ułożone na sztorc. Na to potrzeba by już nie paru milionów, lecz kilku miliardów rubli. Projekt więc upadł.

Poznańscy wystawili także 2 pałace przy Gdańskiej (dziś Muzeum Sztuki i Szkoła Teatralna) oraz dwie bogate wille podmiejskie. Mieli ponadto udział w pałacu przy rogu Pięknej i Alei Ujazdowskich w Warszawie, gdzie zatrzymywali się podczas pobytu w stolicy. Mieli wreszcie posiadłość na Capri. Wszystkie pałace Poznańskich kapią od złota i ozdób, są mieszaniną najróżniejszych stylów architektonicznych. Istnieje na ten temat celna anegdota. Ponoć, gdy architekt pytał Izraela Kaumana, w jakim stylu życzy sobie pałac, stary wielce się zdziwił: „Co znaczy w jakim? Mnie stać na wszystkie style naraz...".

Jest początek wieku dwudziestego. Dochodzi do pierwszych wybuchów rewolucyjnych. W Łodzi przez 3 lata trwają strajki, robotnicy stają na barykadach. Kpiąc sobie ze wszystkiego, burżuazja łódzka wznosi pałace coraz wspanialsze, otacza je coraz wyższymi murami. Teraz już każdy fabrykant „musi" mieć pałac, bez niego nie liczy się w towarzystwie. Miarą potęgi jest nie tylko wielkość siedziby i bogactwo jej wnętrza, ale także pałacowe parki z mnóstwem zagranicznych okazów roślin, z własnymi oranżeriami, gdzie hoduje się własne pomarańcze i cytryny. Z tego zresztą powodu parki pozostały do dziś najciekawszymi w kraju rezerwatami egzotycznej przyrody.

W roku 1903, gdy rozeszła się wieść, że Łódź zostanie stolicą guberni, bankier Meyer zbudował już nie jeden pałac, lecz całą ulicę pałacyków, z przeznaczeniem na siedziby władz gubernialnych. Pasaż Meyera, obecnie ulica Moniuszki, stanowi notabene do dzisiaj jeden z najpiękniejszych zakątków Łodzi. Późno, po dziesiątkach lat parweniuszowskiego hołdowania blichtrowi secesji, burżuazja łódzka zaczyna „chwytać styl", wznosić budowle coraz doskonalsze i piękniejsze. Do nich należy m. in. pałac Kindermana w stylu renesansu florenckiego, zbudowany jako jeden z ostatnich, w roku 1907 (obecnie siedziba Związku Nauczycielstwa).

Lata po pierwszej wojnie światowej przynoszą kres pałacomanii. Część fabrykantów zbankrutowała i miasto zabrało ich siedziby za długi, inni nie śmieli się już nadto popisywać swym bogactwem. Dość, że po roku 1918, nie powstał już żaden nowy pałac. Epoka minęła, epoka się zamknęła.

Gwałtowna rozbudowa ulicy Piotrkowskiej pochłonęła pałacowe ogrody, wtopiła te zabytkowe rezydencje w jednostajny sznur kamienic. Dziś tylko uważny obserwator dostrzeże te perełki, rozsiane w „bezstylowym bezhołowiu" pryncypalnej arterii miasta. Chcąc sobie wyobrazić, jak naprawdę wyglądał fabrykancki pałac w całej krasie parkowego otoczenia, trzeba wędrować po bocznych ulicach miasta, np. wzdłuż ul. 8 Marca, dawnej osi scheiblerowskiego królestwa.

Władza ludowa potrafiła znaleźć na ogół właściwe przeznaczenie dla byłych siedzib fabrykanckich. Większość z nich zamieniono na szkoły, ośrodki zdrowia, domy kultury, lokale organizacji społecznych. Tylko niektóre „wegetują" i niszczeją jako biura, choć mogłyby zostać znacznie lepiej wykorzystane.

Przejawiliśmy także sporo gospodarskiej troski o ich właściwą konserwację i remonty. Nie zawsze jednak mieliśmy dość pietyzmu dla ich pięknych wnętrz. W ten sposób uległy zniszczeniu wnętrza pałacu przy rogu 8 Marca i Kilińskiego, gdzie mieściła się szkoła felczerska, czy pałacu Herbsta przy Przędzalnianej. Szkody są niepowetowane.

Historycy sztuki nie zawsze zdają sobie sprawę, że coś — co dzisiaj zabytkiem nie jest, będzie nim za najbliższe 50 lat, interesują ich właściwie rzeczy, które przestały istnieć. Kiedyś — nie wykluczone — będą sobie z czcią przekazywać fragment kafelka z scheiblerowskiej łazienki, chociaż dziś jeszcze mają do dyspozycji cały pałac. W kampanii o zachowanie dla przyszłych pokoleń tego fragmentu historii, należy chyba bardziej stawiać na etnografów.

Bo nie ulega wątpliwości, że zespół „zamków" nad Łódką i Jasienią, zespół w swoim rodzaju jedyny na świecie, nie powinien ulec zniszczeniu. A zresztą, pomińmy już nawet „ogólnoludzkie" aspekty sprawy. Wystarczy, że jest w nich zaklęty koloryt Łodzi, jej dzieje, krew i pot jej mieszkańców, wspaniałe zdolności łódzkich rzemieślników, którzy kuli te cudeńka w kamieniu, jest — wyrażając się banalnie — kawał historii, krótkiej ale burzliwej, historii pouczającej i bohaterskiej, barwnej i chyba nawet... wspaniałej.

Pewien plastyk, rodem bodaj spoza Łodzi, wykorzystuje motywy łódzkich pałacow dla ozdabiania wiszących talerzy, wyrabianych przez wytwórnię w Wałbrzychu, i to, zdaje się, wszystko. Nie mamy żadnej monografii pałaców łódzkich, ani przewodnika dla turysty, który pragnąłby chociaż od zewnątrz je obejrzeć.*) Mało, nie istnieje nawet spis byłych siedzib fabrykanckich. W rozmowach z miłośnikami historii Łodzi udało mi się zestawić listę trzydziestu pałaców, a wiadomo, że jest ich ponad sto.

Biała karta, piękne pole do popisu dla Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i innych organizacji miłośników naszego miasta. Zapraszamy do podjęcia inicjatywy. S'il vous plait... — jak mawiali fabrykanci — światowcy, na czym praktycznie wyczerpywała się ich znajomość francuszczyzny.

PS. Serdecznie dziękuję za udzielone informacje p. dyrektorowi W. Pietruszcze z Miejskiego Urzędu Statystycznego oraz p. Zdzisławowi Konickiemu — znanemu przewodnikowi łódzkiemu. J.B.

*) Fragmentarycznie mówi o tych sprawach wydany ostatnio „Informator o zabytkach Łodzi w opracowaniu Tadeusza Byczko i Ireny Popławskiej.

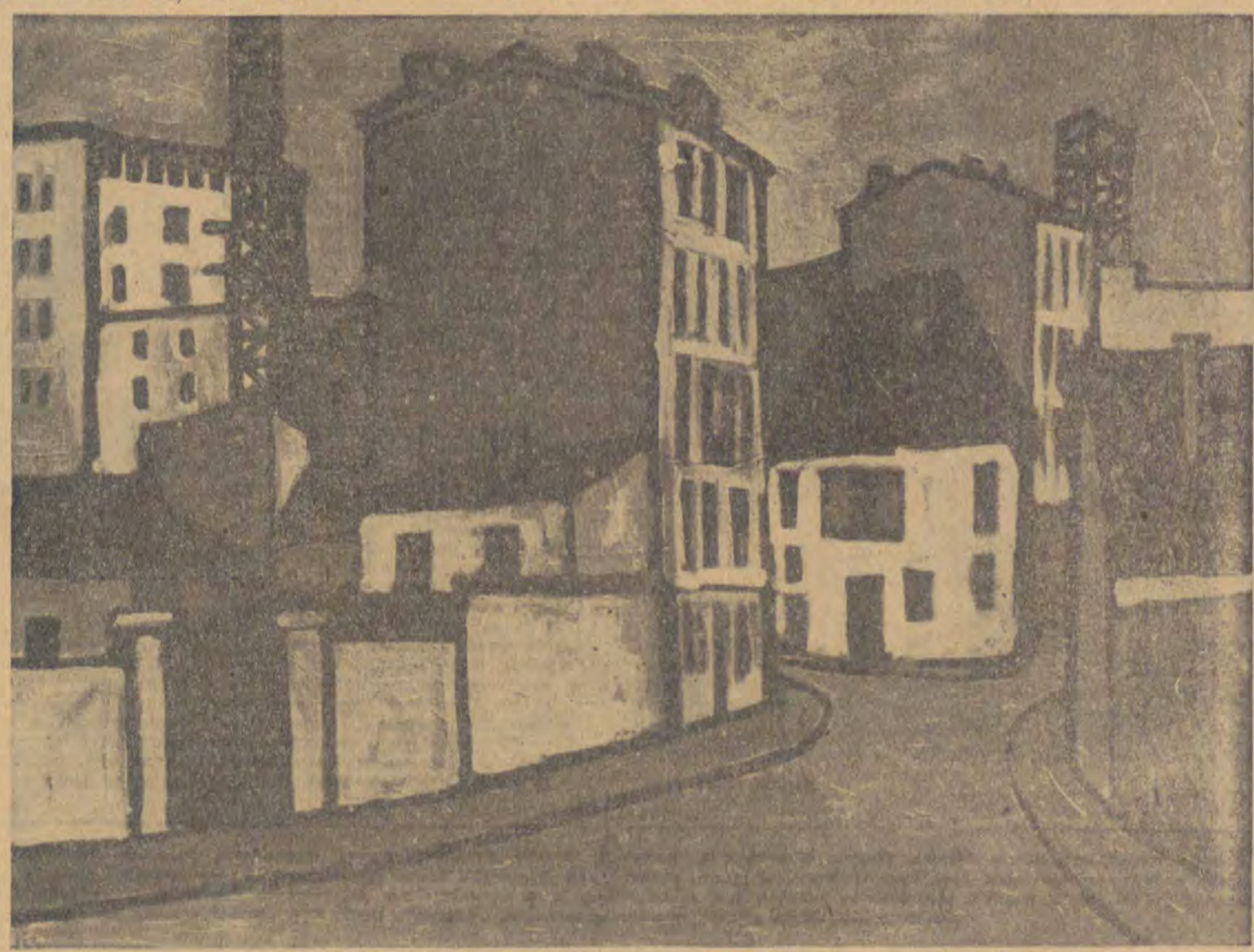

Wiesław Garboliński — Domy

Fot. A. Idziński

Plastyka 1964

BERNARD KEPLER

Istnieje dość powszechne przekonanie, że w plastyce polskiej liczą się właściwie tylko dwa okręgi Warszawa i Kraków, a w innych ośrodkach jeśli nawet jest coś interesującego, to nie wykracza to poza indywidualne osiągnięcia, potwierdzające jedynie regułę. Kiedyś może tak w rzeczywistości było, ale nie dziś.

Od szeregu lat, po części dla własnej przyjemności, głównie jednak z obowiązku zawodowego śledzę działalność rozmaitych środowisk plastycznych, nie przesadzę więc zbytnio twierdząc, że obecnie sytuacja w plastyce polskiej zmieniła się diametralnie. Nie oznacza to oczywiście, że plastyka warszawska i krakowska straciły swą przodującą pozycję, przestały jednak być monopolistami. Na przestrzeni ostatnich kilku lat szereg ośrodków prowincjonalnych, w przeszłości często niedocenianych lub traktowanych marginesowo osiągnęło nie notowany dotąd poziom i rozmach. **Dotyczy to zwłaszcza łódzkiego środowiska plastycznego, którego szczególna aktywność i poważne osiągnięcia artystyczne zwróciły w ostatnim czasie uwagę wielu wybitnych krytyków warszawskich, niezbyt jak wiadomo skorych do pochwał.**

W dzisiejszej plastyce obfitującej w wiele rozmaitych wzajemnie się zwalczających tendencji artystycznych najtrudniejszą rzeczą jest z jednej strony uniknięcie epigonizmu, z drugiej zaś strony nieuleganie bezkrytycznie przelotnym modom w sztuce — jednym słowem zachowanie własnego, niczym nie skrępowanego, odrębnego oblicza artystycznego. Wydaje się, iż do pewnego stopnia osiągnął to łódzki ośrodek. Nie licząc artystów o trudnym do sprecyzowania obliczu artystycznym na gruncie łódzkim wyróżnić można dwie grupy plastyków, z których jedni w większości związani z PWSSP, uprawiają różne odmiany sztuki nie przedstawiającej, drudzy zaś wbrew powszechnie panującej modzie nie wahają się korzystać z warsztatu realistycznego.

Nie ulega wątpliwości — przynajmniej dla mnie — że ton plastyce łódzkiej nadaje właśnie ta niewielka grupa malarzy i grafików, którzy skromnie szukają współczesnego realizmu w oparciu o aktualny stan naszego malarstwa. To właśnie oni decydują o specyficznym charakterze łódzkiej plastyki. **Uprawiają sztukę bliską sobie w ogólnym dążeniu do nasycenia malarstwa treścią humanistyczną, przy czym charakterystyczna tu jest nie tylko pewna wspólnota poszukiwań formalnych, lecz także społecznego i politycznego zaangażowania.** Z punktu widzenia formalnego wspólną cechą jest przede wszystkim dążenie do uproszczonych form; wspólna jest również surowa powściągliwość gamy barwnej owych monochromatycznych niekiedy obrazów.

Benon Liberski.

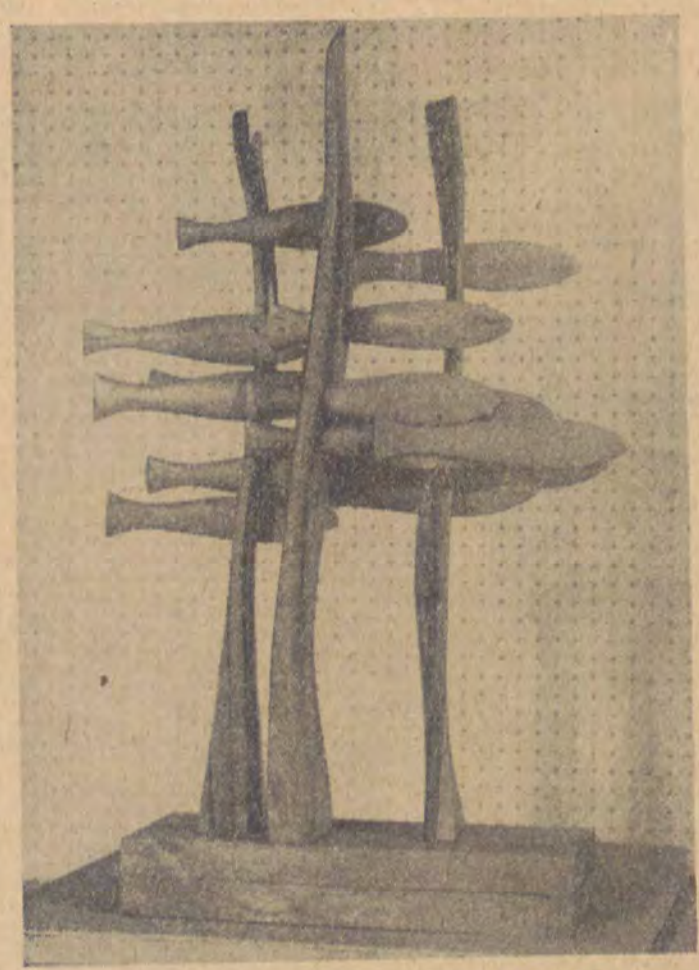

Antoni Bilas

Problematyka artystyczna łódzkiej plastyki jest zbyt złożona, by kilka powierzchownych sformułowań mogło wyczerpać temat, trudno bowiem w tak szczupłych ramach pokusić się o bardziej wyczerpującą analizę. Nie o to mi zresztą chodzi.

Łódzki Okręg Związku Polskich Artystów Plastyków znajduje się w przededniu wielkiego święta. Plastycy łódzcy w nadchodzącym roku **obchodzić będą XX-lecie istnienia swego związku.** Wobec tak doniosłego wydarzenia celowe wydaje się pobieżne chociaż prześledzenie osiągnięć i dorobku artystycznego naszych plastyków w minionym roku. Żeby nie być gołosłownym posłużę się konkretnymi liczbami i faktami.

W chwili obecnej Łódzki Okręg ZPAP, będący trzecim co do wielkości ośrodkiem w Polsce, zrzesza w czterech sekcjach około 350 artystów. Poza ożywioną działalnością na własnym terenie ma on w tym roku do zanotowania wiele osiągnięć w skali ogólnopolskiej, a nawet sukcesy poza granicami kraju. **W ciągu tego roku plastycy łódzcy zorganizowali kilkadziesiąt wystaw różnych gatunków sztuki na terenie Łodzi i w innych miastach na zasadzie wymiany międzyokręgowej. W Łodzi odbyło się pięć wystaw zbiorowych (doroczna wystawa Okręgu Łódzkiego, dwie wystawy pokonkursowe, oraz wystawy okręgu lubelskiego i rzeszowskiego) oraz kilkadziesiąt wystaw indywidualnych. Równolegle z tym Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało na terenie woj. łódzkiego kilkanaście wystaw m. in. w Pabianicach, Łowiczu, Sieradzu, Piotrkowie, Tomaszowie.** Działalność łódzkiego środowiska plastycznego nie ogranicza się rzecz jasna tylko do organizowania wystaw. Szczególnie charakterystycznym przejawem aktywności łódzkich plastyków są często w Łodzi organizowane konkursy plastyczne. Doświadczenie ubiegłych lat wykazało, iż jest to jedna z najdoskonalszych form wywołania tak potrzebnego w sztuce fermentu twórczego. Najlepszy dowód, że poziom nadsyłanych na konkursy prac jest z reguły wyższy niż prac prezentowanych na innych wystawach. **W ostatnim czasie odbyły się w Łodzi trzy konkursy.** Każdy z nich przyniósł bardzo bogaty plon. **W konkursie pt. „Człowiek" główne walory uzyskali J. Krawczyk, W. Garboliński, i B. Liberski. Konkurs na obraz sztalugowy i rzeźbę przyniósł następujące rozstrzygnięcie. W dziale malarstwa nagrodzono m. in. prace J. Krawczyka, B. Liberskiego, S. Fijałkowskiego, L. Kunki, J. Skrobińskiego i K. Zielińskiego, zaś w dziale rzeźby M. Gałkiewicza i W. Kondka. W trzecim z kolei konkursie na grafikę wyróżnili się Pierzgalska, Dobroniak, Rózga i Ukleja.**

Obok wymienionych wyżej imprez o charakterze lokalnym plastycy łódzcy uczestniczyli we wszystkich niemal ważniejszych imprezach ogólnopolskich. Pomijając już fakt, że w każdej z nich brało udział po kilkunastu artystów z Łodzi — co przy ograniczonej liczbie wystawiających stanowi rzecz godną podkreślenia — wielu z nich zostało wyróżnionych.

I tak na Festiwalu Współczesnego Malarstwa Polskiego w Szczecinie **J. Krawczykowi** przyznano medal. Miał on ponadto wraz z **B. Liberskim** zakupy. W Ogólnopolskiej Wystawie Marynistycznej w Warszawie wyróżniono pracę **L. Rózgi.** W śląskim konkursie pt. „Śląsk w plastyce" **H. Płóciennik** uzyskał honorowe wyróżnienie. Ogólnopolski konkurs pt. „Człowiek i praca w Polsce Ludowej" przyniósł nagrody **B. Liberskiemu i H. Płóciennikowi,** wyróżniając także prace **J. Krawczyka i Siedlanowskiego,** również w Biennale Grafiki w Krakowie poważny udział mieli łodzianie.

Pozostaje wreszcie sprawa udziału artystów łódzkich w imprezach zagranicznych. Także tu mają oni do odnotowania bardzo poważne osiągnięcia. **Przede wszystkim wielki sukces Konstantego Mackiewicza, który na międzynarodowej wystawie w Monaco zdobył Grand Prix. Dalej nagroda specjalna miasta Rawenny przyznana A. Starczewskiemu** w konkursie na ceramikę w Faenza. W VIII Międzynarodowej Wystawie Grafiki (tzw. sztuki czarno-białej) w Lugano Polskę reprezentowało trzech artystów. Niewątpliwym wyróżnieniem był tu udział **dwóch łodzian L. Rózgi i H. Płóciennika** (mieli zakupy). Rózga ponadto miał w tym roku indywidualną wystawę w Wiedniu. Poza tym łódzcy plastycy wystawiali w ostatnim czasie również w NRF, NRD, Szwecji, W. Brytanii i na Kubie.

Wacław Kondek.

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3845. XII. 64. F-4.

HENRYK PUSTKOWSKI

Książki 1964

KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI: WYWOŁYWANIE BOGA. WL.

Wśród trzech opowiadań zamieszczonych w książce seniora łódzkich pisarzy najmniejszą rolę odgrywa temat „spirytystyczny" przez tytuł sugerowany. Błeszyński zajmuje się sprawami „z tego świata", sprawami bardzo ludzkimi — miłością, która znajduje swoje spełnienie, i miłością, która zostaje w sferze wysublimowanych pragnień. Trochę jak ironiczny romans detektywistyczny (Wywoływanie Boga), trochę dziewiętnastowieczne (Przez wdzięczność), nie stroniące jednak od tematyki dwudziestowiecznej (Mors hitlerica) — utwory Błeszyńskiego są zapewne przychylnie przyjmowane przez szerokie grono czytelników.

HONORATA CHROŚCIELEWSKA: CÓRKA TEGO, CO TRAMWAJE JEGO. WL.

„R. X. O tym, jak pojechaliśmy na majówkę do lasu, w którym wujkowie z ciociami i innymi paniami tańczyli, jak duch poszedł do jednej pani do łóżka, a jacyś panowie nożami się dźgali. R. XXV. O przywitaniu tatusia jak wrócił ze strajku".

Owe argumenta (jakby je ze staropolska nazwać) oddają atmosferę książki Honoraty Chróścielewskiej. Czy jest to książka „dla dzieci?". Raczej książka o dziecku. O wizji świata — w rzeczywistości brutalnego, głodnego — który wyobraźnia dziecięca poetyzuje, łagodzi jego konflikty, przenosząc je trochę w sferę baśniowości.

STANISŁAW CZERNIK: NOWINA. WL.

Kluczem do rozszyfrowania urokliwej poetyki „Nowiny" S. Czernika jest quasi-fantastyczne końcowe opowiadanie „Czerwiec". Niby-fantastyczne, bowiem nie chodzi tu o nowy „wehikuł czasu", lecz o wielką metaforę pisarza. W świadomości jego nawarstwiają się mity rodzinne, społeczne, „ojczyźniane", które znajdą w końcu wyraz w przekazie twórczym. „Tajemnicza skrzynka" (Wyrażenie przyjęte z cybernetyki) — mózg programowany na poetycką rekonstrukcję przeszłości — jest właściwie arką przymierza między dawnymi a nowymi laty. Dlatego tytułowe (piękne!) opowiadanie jest sfabularyzowaną pieśnią ludową: „Stała się nam nowina, pani pana zabiła", na której Mickiewicz osnuł balladę „Lilie". Czerpanie z archetypów tkwiących w zbiorowej podświadomości ludowej jest postulatem literackiego autentyzmu, postulatem, który został spełniony przez koryfeusza tego prądu i w jego kolejnej książce.

EWA DĄBROWSKA: DZIELNICA SAMÓW. WL.

Problem samotności ludzkiej, która może być okupiona jedynie przez miłość obsesyjnie zjawia się w twórczości E. Dąbrowskiej (przypomnijmy jej tomik „Tropiąc nieistniejące" WL. 1963 r.). W opowiadaniu tytułowym owe SAMy stają się symbolem współczesności skazującej człowieka na nieuchronną alienację.

LEON GOMOLICKI: KIERMASZ. WL.

„Kiermasz albo wyprzedaż mitów" tak chciałoby się nazwać książkę L. Gomolickiego. Jest to bowiem powieść o artyście. O człowieku przegranym, który nie znajduje zrozumienia w świecie dorosłych. Ucieczka w dzieciństwo, „ucieczka w zieloność" stają się jedyną jego możliwością. W kluczowej scenie powieści bohater otwiera swą „walizkę", w której mieszczą się Fajdros, Henoch, Manon, Kordelia — cała galeria literackich postaci — i „zabawki" te rozdaje zgromadzonej wokół dzieciarni. Walizka zostaje próżna — pozostaje szansa autentycznego życia.

JAN HUSZCZA: KRĘGI. WL.

Na tom prozy J. Huszczy składa się 14 opowiadań i 7 miniatur. Trudno scharakteryzować tę książkę, ponieważ utwory Huszczy ewokują wiele tematów: wspomnieniowo-żołnierski, autobiograficzny, alegoryczno-„rozrachunkowy" (Kręgi) powojenny dramat postaw moralnych (Najbliższe strony) itd. Mieszczą się one w jednej realistycznej konwencji pisarskiej. Słusznie zauważył P. Kuncewicz (rec. w „Odgłosach), że nawet tam, gdzie autor „metaforyzuje", istnieje zawsze możliwość odwołania się do dosłowności. (Sankcję społeczno-realistyczną mają owe „kręgi" z opowiadania dającego tytuł zbiorkowi). Realizm ów koresponduje często z groteską (wąsy mecenasa Tutyłły urastające do miary symbolu). W sumie: proza, którą się czyta z zainteresowaniem.

JAN KOPROWSKI: POWRÓT DO KRAJU. WYD. ŚLĄSK.

Różnie można rozumieć tytuł autobiograficznej powieści znanego łódzkiego pisarza. Różne tu są powroty. „W maju 1947 r. Felicja, Jacek i ja powróciliśmy do kraju" — to jednoznaczne stwierdzenie otwiera książkę; inaczej pojmujemy powrót do kraju jednej z postaci książki — Springera („Ojczyzna tam, gdzie mnie chcą"), ale najwłaściwiej byłoby ów tytuł rozumieć metaforycznie (tutaj już cytatu nie znaj dę) — chodzi o powrót do kraju prastarych ziem polskich, asymilację Dolnego Śląska, na którym autorowi przyszło żyć w pierwszych latach powojennych. Jego życie rodzinne związane jest z przemianami zachodzącymi na Ziemiach Zachodnich. Mniej już na nich chaosu, bezhołowia (boć to już lata względnej stabilizacji), dlatego też w powieści Koprowskiego nie znajdujemy szokujących obrazów pełnego konfliktów „wrastania". Zjawia się problem autochtonów, którym niejednokrotnie wyrządzono krzywdę (przypomnieć gorzkie słowa doktora Jonderki: ...„z miłości do Polski wyleczyli mnie sami Polacy. A myśmy tu na tę Polskę czekali"). Interesująco przedstawia Koprowski motywy, które go skłoniły do opuszczenia Piechowic. Dla miłośników autentyzmu w literaturze — oczekiwana książka.

ANTONI KASPROWICZ: ZŁODZIEJE OWOCÓW WYD. ŁÓDZKIE

W trzynastu nowelach A. Kasprowicza będących jego prozatorskim debiutem odżywają obrazy Łodzi z okresu młodości autora. Czytelnicy znajdą w nich opisy „czerwono-łódzkich" dzielnic — Widzewa, Szlezyngu, Księżego Młyna, opisy strajków, nędzy, wielkich życiowych tragedii (Romans na przedmieściu) i małych codziennych zwycięstw. Widziane z perspektywy czasu sprawy te zostają jednak przez autora potraktowane z odrobiną sympatii i dużym poczuciem humoru. Tytułowe opowiadanie wprowadza np. komiczną sytuację, kiedy niezaradny, a sympatyczny „badylarz" Klemens Kryspin Samożęć, przyprowadziwszy młodego złodzieja owoców do jego domu, wzruszony nędzą proletariackiej rodziny, staje się jej „kumem". Opowiadania spointowane, barwne, przesycone realiami świata, który dla młodszych czytelników jest już niemal „historią".

ANTONINA KŁOSKOWSKA: KULTURA MASOWA, PAŃSTW. WYD. NAUK.

Jest to pierwsza w języku polskim praca, próbująca zagadnienia kultury masowej przedstawić w ich rozwoju historycznym, zebrać je i uporządkować. Składa się ona z czterech części i rozpatruje następujące problemy: rozumienie kultury, ramy społeczne kultury masowej, obraz kultury masowej, szkic zagadnień kultury masowej w Polsce. Książka ma więc charakter monograficzny, dąży do wszechstronnego ujęcia i omówienia tematu z pozycji krytyki i pozycji obrony. Antonina Kłoskowska nie jest bezkrytycznym entuzjastą kultury masowej we wszelkich jej przejawach. Nie jest też uprzedzonym krytykiem, negującym jej założenia i cele. Rozważna analiza problemu kultury masowej, rozpatrzenie wszystkich „za i przeciw" w oparciu o poważną już w świecie literaturę przedmiotu czyni z tej książki lekturę tyleż poważną, co i fascynującą.

ANDRZEJ IZERSKI: WIDZEWSKI KRÓLIK. WL.

Rewolucyjne tradycje Łodzi, dzieje „polskiego Manchesteru" doczekały się już wielu publikacji popularno-naukowych. Miłośnicy „cyklu łódzkiego" otrzymali ostatnio w prezencie od WL. książkę Izerskiego, która w interesujący sposób przedstawia historię powstania fortuny Oskara Kona — właściciela Widzewskiej Manufaktury.

ZOFIA LORENTZ: DALEKO OD JABŁONI. ISKRY.

Książka z „pośliz gu wydawniczego": ukazała się na półkach księgarskich dopiero w 1964. Powieść Z. Lorentz poświęcona jest młodzieży trudnej. Inteligentne „dziecko wojny" — Wiktor — spotyka na rozprawie sądowej żonę swego ojca, który dopuścił się zdrady małżeńskiej, „aby zostawić po sobie kogoś, kto przeżyje koszmar wojenny". Teresa Wigowa — sędzia dla nieletnich decyduje teraz o winie ucieleśnionego pragnienia męża. Osądzając go, osądza niejako swego syna z drugiego małżeństwa — Krzysia — dla którego Wiktor stał się „ideałem życiowym". To zawęzienie dramatyczne znajdzie finał, którego tutaj nie zdradzę.

ZBIGNIEW NIENACKI: WYSPA ZŁOCZYŃCÓW. NASZA KSIĘGARNIA. Z GŁĘBOKOŚCI. CZYTELNIK.

Jeśli Piotra — bohatera powieści (Z głębokości) Z. Nienackiego można potraktować jako porte — parole autora, i przyjąć serio jego słowa: „Pewien stary pisarz oglądając dłoń Piotra wywróżył mu wielką płodność. Sprawdziło się to o tyle, że Piotr miał tylko jedno dziecko i kilka napisanych książek, a jego koledzy po kilkoro dzieci i po jednej, najwyżej dwie książki" (s. 73) — można rzeczywiście pisarza nazwać jednym z najpłodniejszych ludzi Łodzi. W r. 1964 obdarzył nas literackimi bliźniakami. Są to z kolei jego 8 i 9 książka (nie licząc sztuk teatralnych). Powieść „Z głębokości" zainteresuje chyba wszystkich. Miłośnicy filozofii znajdą w niej rozważania na temat antropologii kulturowej, dla gimnazjalistów będzie ona niezłą „powtórką" z naturalizmu, dla snobów (czy są jeszcze tacy?) zgrupowanych wokół literackiego światka — powieścią „z kluczem". Tym ostatnim dostarczy najwięcej satysfakcji.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ: KONFERENCJA U MECENASA. WL.

„Tam, na tej sali... walczą ze sobą trzy prawdy: oskarżycielska, sędziowska, i obrończa, moja. Każda z tych prawd ma swoje racje i każda z nich jest nieprzenikalna i nietolerancyjna, każda chce zwyciężyć. Wy zaś panowie, ze swoją czwartą prawdą, ze swym sentymentalnym humanitaryzmem — macie najmniej racji i najmniej szans" (Konferencja... s. 241).

Prawo działa tam, gdzie są winni. Jeśli ich nie ma, stwarza się ich. Nowa książka W. Rymkiewicza (oparta — jak sam wyznaje — na autentycznych faktach) wskazuje na niebezpieczeństwo sytuacji, w której prawo działa na zasadzie gry. Za paragrafami ukrywa się przecież człowiek i dlatego ta „czwarta prawda", którą reprezentują oskarżeni pragnący zeznawać na swą niekorzyść, jest nam najbliższa.

STEFANIA SKWARCZYŃSKA: MICKIEWICZA „HISTORIA PRZYSZŁOŚCI" I JEJ REALIZACJA WRAZ Z PODOBIZNĄ AUTOGRAFU, ŁÓDZKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE.

Monografia zagadkowego rękopisu Mickiewicza przedstawiającego dzieje utopijnej ludowej „wojny powszechnej za wolność ludów" Autorka gromadząc z wielką dociekliwością naukową fakty i dokumenty historyczno-literackie, opierając się nie tylko na zachowanych fragmentach „Historie de l'avenir", ale i na wspomnieniach Odyńca, towiańczyka Scovazziego, z dużą artystyczną wyobraźnią dokonuje śmiałej rekonstrukcji fantastycznych utworów Mickiewicza, mających istotne znaczenie w rozwoju jego myśli.

EUGENIUSZ AJNENKIEL: CZERWONA LUTNIA. WL.

Ogłaszane jeszcze przed wojną przez Ajnenkiela teksty pieśni robotniczych i próby samorodnej twórczości proletariackiej doczekały się w końcu antologii. Obejmuje ona utwory powstałe w latach 1879—1918.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ: ANIMULA. WL.

„Przywrócenie zamierzchłej godności poezji jest możliwe tylko wówczas, gdy poeta — żyjący i piszący w czasie teraźniejszym — będzie jednocześnie żył i pisał we wszystkich przepływających przez nas i wokół nas czasach" (Współczesność nr 141 J. M. Rymkiewicz — Poeci o sobie). Nie miejsce w tej krótkiej notatce na sygnalizowanie choćby wszystkich problemów, jakie się wiążą z ambitną, acz kontrowersyjną twórczością J. M. Rymkiewicza. Poetyckie credo, które na wstępie przytoczono, zostało postawione z całą odpowiedzialnością poety świadomego źródeł i zadań swej twórczości. Poeta jest craftsmanem, który sprawnie panuje nad tworzywem. „Uczoność" Rymkiewicza (poeta doctus), pozostawianie „rusztowań" (owe przypisy do poematów) na poetyckiej fasadzie są organicznie związane z poetyckim programem autora. Rymkiewicz klasycyzuje. Nie jest to jednak klasycyzm „formy" a klasycyzm wewnętrznych struktur. W związku z tym wystąpi zagadnienie oryginalności. Do czasów romantyzmu pojęcie oryginalności było pojęciem pozornym. Korzystano z tematów wspólnych (mitologia, religia), wzajemnie podchwytywano sobie motywy itd. W ostatnim tomiku Rymkiewicz nawiązuje do wspólnych dla większości ludzi archetypów. Jego zwarty wewnętrznie, matematyczny, intelektualny program poetycki będzie realizowany poprzez symbol, mit, sen. Wewnętrzna logika zostanie przekazana poprzez prelogiczne obrazy. Nie jedyna to antynomia poetyki J. M. Rymkiewicza. Antynomia niepokojąca, twórcza.

MARIAN PIECHAL: MIASTO NADZIEI. WL.

Znakomicie po bibliofilsku wydany tom wierszy poświęconych serdecznym związkom autora z jego ziemią i miastem rodzinnym — Łodzią. Przy tego typu wierszach zawodzi stosowanie kryteriów artystowskich mowi o tym najlepiej wstęp prof. Stefanii Skwarczyńskiej: „... dla niego Łódź to nie jest przedmiot jakiejś doraźnej, mniej lub bardziej wnikliwej obserwacji: ani po prostu temat literacki; ani czysty problem podjęty intelektualnie... Łódź dla tego poety to krew, która obiega jego żyły, to powietrze, którym oddycha, to miąższ każdego jego przeżycia, to jego naturalna „materia poetica"...).

JERZY WALEŃCZYK: ULICZKA DOBRYCH LUDZI. WL.

„Ile wersji rzeczywistości, wersji człowieka i świata istnieje? Ogarnia mnie przerażenie, kiedy pomyślę, że tyle, ile jest świadomości ludzkich" (s. 68). Jest to przerażenie poety, człowieka pragnącego sprowadzić do jednego mianownika lirycznego „wielość, rzeczywistości, a jednocześnie lękającego się, że w tym procesie może zostać zagubione całe piękno nieuchwytnych, momentalnych zjawisk. Waleńczyk szuka wyjścia z tego dylematu poprzez autobiografię. Siebie czyni reprezentantem owych doznających podmiotów. Mówi o sobie mówiąc jednocześnie o każdym człowieku. Dlatego fakty, realia jego opowiadań nabierają wartości symbolu. Symboliczny jest ów szkolny mikroskop, który na pół ślepa bohaterka „Uliczki dobrych ludzi" daje narratorowi „do rozumienia granic dzielących ludzi i rzeczy, symboliczna jest zniszczona książka z napisem na 58 stronie „Getto, getto", symboliczny w pewien sposób staje się los Witka (Krajobraz absolutnego dnia), którego kompleks obozowy (widok samobójczej śmierci na drutach pod napięciem) fatalistycznie prowadzi do podobnego końca. Jest to zresztą (jak w większości opowiadań Waleńczyka) literacka transpozycja autentycznego wydarzenia. Godna polecenia książka.

OSNOWA — ALMANACH LITERACKI. WL.

Drugi z rzędu Almanach Oddziału Łódzkiego ZLP zawiera bogatą treść obrazującą dorobek pisarzy łódzkich — wiersze, opowiadania, fragmenty prozy, wspomnienia, recenzje, kroniki. Tom wzbogacony o utwory kilku wybitnych pozałódzkich pisarzy m. in. Mieczysława Jastruna, Anatola Sterna, Jana Brzękowskiego, Zbigniewa Bieńkowskiego, Stefana Lichańskiego i in.

Z ZAPOWIEDZI WYDAWNICZYCH NA ROK 1964.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW: TRUDNA WOLNOŚĆ. WL.

„Trudna wolność" jest tomem opowiadań nieżyjącego już wybitnego łódzkiego pisarza. Autor książki „Człowiek jest nagi" sytuuje i tym razem akcję opowiadań w Polsce okupacyjnej bądź w pierwszych latach wolności.

ZYGMUNT FIJAS: O SZKODLIWOŚCI KOMINÓW.

Znając cięte pióro łódzkiego satyryka i humorysty (ostatnio model jego humoru przesuwa się w stronę pure-nonsensu) mamy nadzieję, że i ta jego książka nie zawiedzie oczekiwań czytelników.

Konkurs świąteczny

CYTUJEMY SHAKESPEARE'A

Cytujemy Shakespeare'a w roku szekspirowskim! Aby ułatwić naszym Czytelnikom cytowanie Shakespeare'a, postanowiliśmy przypomnieć w naszym świątecznym konkursie 11 kwestii, wypowiadanych przez 11 postaci, występujących w 7 sztukach wielkiego dramatopisarza. Postaci te narysował dla naszych Czytelników Henri Poulain. 11 kwestii powinno pozwolić naszym Czytelnikom na odgadnięcie imion tych postaci. Aby rozwiązać nasz konkurs, wystarczy więc na kuponie, znajdującym się na stronie 5 wpisać, obok kwestii wypowiadanej przez szekspirowskiego bohatera, jego imię i tytuł sztuki, w której występuje. Rozwiązania należy nadsyłać na adres: „Odgłosy", Łódź, Piotrkowska 96, do dnia 5.I.1965 r. Między uczestników konkursu, którzy nadeślą w terminie prawidłowe rozwiązania zostaną rozlosowane liczne nagrody: radioodbiorniki tranzystorowe, piękne wydania dzieł Shakespeare'a, komplety płyt do nauki języków obcych oraz wiele cennych książek i albumów.

Prac. Reg.
10840-A
WSP im. J. P. w Łodzi